Nr. 12. Lwów, dnia 30. grudnia 1896. Rok XIX



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

CIETRZEW.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

IV.

Cietrzew w dziejach łowiectwa polskiego. — Historyczna praktyka łowów. — Pocieszne widoki na przyszłość. —

Przypatrzywszy się bodaj pobieżnie naszej dziejowej praktyce łowów cietrzewich, mimowolnie jakaś otucha wstępuje w serce i różowa świta nadzieja, że ptak ten, nie dawszy się wygubić arsenałem niezliczonych sposobów łowiectwa historycznego, przedstawia wdzięczny przedmiot dla łowiectwa kulturnego.

Gdybyśmy dziś, w zmienionym stanie rzeczy, przez krótki czas zapragnęli użycia dawnych sposobów niszczenia, to wnet i odporny cietrzew uległby nieochybnej zagładzie. Zabrakło już po dziś dzień tych niedostępnych dla nogi ludzkiej azylów, dokąd się chroniły liczne pokolenia, zabrakło tych fortów natury, gdzie pod okiem Boga, wśród dziewiczej przyrody, w rajskich stosunkach paliły się spokojnie ogniska domowe wiekowych pokoleń. U brzegów tych przepaścistych komeszy, których resztki utrzymały się dotąd w pewnych okolicach, tworząc jeszcze podziśdzień ulubione siedliska cietrzewi, stał cały naród łowiecki na straży, dybiąc wszelkimi możliwymi sposobami i fortelami na powabną zdobycz. A dodać należy, że bezwzględny i niszczący sposób łowiectwa tego przetrwał aż do najnowszych czasów, i w wielu okolicach ustał dopiero, gdy wreszcie i przedmiotu łowów zabrakło, bo gdzie tylko stadko cietrzewi się pojawiło, rusznica i wyżeł wnet mu końca dojechały. Cóż mieli robić starzy praktycy, co wzrośli w innych pojęciach, jeżeli autorowie książek łowieckich w najpowabniejszy sposób łowy takie wysławiali? Autorowi „Myśliwstwo w Polsce i Litwie“ (Poznań r. 1865) podoba się nadzwyczaj „polowanie na cietrzewia w miesiącu sierpniu i wrześniu“ bo „tam przy dobrym wyżle łatwo c a ł e s t a d o m o ż e b y ć w y b i t e“ (str. 67).

Pomiędzy najliczniejszą klasą narodu utrzymywały się niemal do ostatnich czasów wszystkie mordercze sposoby historycznego łowiectwa cietrzewi, a oprócz tego broń palna wprowadziła jeszcze nowy sposób niszczenia, którego wstydził się nasz Cygański w XVI. wieku zwąc je „łowiectwem nikczemnem“ (str. 34 wyd. Wagi 1842), a którem nasz autor Bobiatyński delektuje się jakby jakimś cukierkiem. W tomie II. str. 266 swego dzieła każe on w lipcu szukać cietrzewi z psem, „a gdy pies natrafi na stado, zawaruje i spłoszy, do zrywającej starki naprzód strzelać, a gdy tego nie wypadnie dopełnić, na chwilę się zatrzymać, nim młode w zielsku nie przypadną. Wtenczas matka, żeby odprowadzić my-

śliwego od swych dzieci, zrywa się kilka razy, usiada w bliskości i zostaje ubitą, młode zaś, nie słysząc głosu matki, kryją się w zielsku i mocno w niem dosiadują, tak, że wszystkich wyżeł łatwo połowić może". Gdy jeszcze to nie wystarczy, autor każe wabić „fiu, fiu, fiu" i „tym sposobem wszystkich można zwabić i strzelać", a gdy psa i strzelby niema „to zastawić sieci czyli płotki, zasiąść pod krzakiem i wabić. Cietrzewięta posłuszne będą mniemanemu głosowi matki, zbiegają się i wikłają w siatkę". I mnóstwo jeszcze innych prawdziwie szatańskich sposobów tępienia podaje ta „Nauka łowiectwa" z 1823 r., dedykowana ks. Adamowi Czartoryskiemu, a wszystko to obliczone chyba na zupełną zagubę cietrzewi.

Niedawne te czasy — a jakże zmieniły się nasze pojęcia! To o czem autor mówi z największym spokojem w swej „Nauce" — czyta się dziś z prawdziwym wstrętem, są to bowiem „nauki", na jakieby się po 70 latach nie zdobył nawet najobrzydliwszy kłusownik, i jedynie chyba wielki zwierzostan cietrzewi, znajdujący się za czasów autora na Litwie, tłumaczy go w części jako myśliwego, choć nie usprawiedliwia jako autora XIX-go wieku, pragnącego swym rodakom, jak się w przedmowie wyraża, pożyteczną ofiarować książkę — nie usprawiedliwia kandydata filozofii, który pomimo, że się obracał w anachronicznych stosunkach otoczenia, powinien był coś wiedzieć o nowych postępowych prądach, jakie już na wiele lat przed jego dziełem powiały i na polu łowiectwa przez ziemie europejskie. Minęło już podówczas ćwierć wieku od pojawienia się dzieła Bechsteina (*Vollständiges Handbuch der Jagdwissenschaft*), w którem autor oparł się na czysto naukowym i racyonalnym gruncie, a nadto poprzednikami Bobiatyńskiego byli Jester, Hartig, D. v. d. Winkell, i od lat kilku wykładano już w jedynej szkole leśnictwa w Królestwie polskiem zasady nieco racyonalniejszego łowiectwa.

Ale cóż tu mówić o przestarzałem już dziele Bobiatyńskiego, kiedy żaden z tych białych kruków, jakiemi są nasze książki i podręczniki łowieckie, nie podaje aż do ostatnich czasów racyonalnych zasad hodowli i łowów cietrzewi, a autorowie wypełniają natomiast traktat dotyczący wspomnieniami starych praktyk łowieckich i niedokładnym, lub wprost błędnym opisem jego przyrody. Ledwo w „Gospodarstwie łowieckiem" Reumana znajduje się króciutki ustęp o zaprowadzeniu i rozmnożeniu cietrzewi (str. 368), jednak podane tam przez autora sposoby ku temu, wątpię, aby mogły gdziekolwiek doprowadzić do celu.

Prawdziwym rajem cietrzewi musiały być niegdyś lesiste okolice Królestwa, do ostatnich bowiem czasów zachowały się tam jeszcze dość pokaźne ślady przeszłości. Nader obficie przebywa cietrzew w bagnistych lasach Augustowskiego, na Podlasiu i w Lubelskiem, niemniej częstym jest w Sandomierskiem, a nie brak go w lasach Piotrkowskich i na Mazowszu.

To, co tu specyalnie o siedliskach cietrzewi w Królestwie powiedziałem, odnosi się i do innych dzielnic kraju, gdzie tylko warunki przyrodnicze ptactwu temu odpowiadały. Był to nader popularny przedmiot łowiectwa historycznego, przedmiot pokaźny a przystępny wszelkim sposobom dawnego myślistwa.

Mszarne, podmokłe i nieprzystępne ustronia, które stanowią podziśdzień najulubieńsze siedliska cietrzewi, wątpię aby były niezbędnym warunkiem przyrodniczym dla niego. Potrzebuje on przedewszytkiem spokoju do gry i lęgów, a niepokojony i prześladowany gdzie indziej, ściągnął się z czasem w te dzikie ustronia. Oprócz bowiem innych wrogich wpływów, które go ku temu zmuszały, przyczyniły się niezawodnie do tak oryginalnego zlokalizowania cietrzewi przedewszystkiem i pośrednio łowy ustawiczne z psami na innego zwierza. Gdzie przepaścisty teren wstrzymywał wreszcie myśliwskiego rumaka, skąd wracały ze skowytem zaciekłe ogary — tam się mogły uchować w późne wieki obfite stada cietrzewi; natomiast wyniszczono je wszędzie, gdzie tylko stosowanie sposobów historycznego łowiectwa było możliwe — wyniszczono tem pewniej, że wykonywała te łowy również w sposób namiętny najliczniejsza klasa narodu, drobna szlachta, rozsiadła wśród puszcz i chłopstwo, któremu ten dział łowiectwa we wielu okolicach legalnie przyznawano.

Łakomstwo cietrzewi na hreczkę umiało doskonale wyzyskać dawne łowiectwo. Garść hreczki była znakomitą ponętą w miejscach, gdzie cietrzewie na pole wychodziły. Tam zastawiano mrzeżę t. j. sieć zeskakującą, lub sieć szatrem zwaną, konstrukcyi nieco odmiennej, bo wikłającej ptaka, i łowiono odrazu całe stada. Szczególniej szater używany był na Rusi, gdzie nęcenie trwało nieraz i kilka tygodni, aby sobie wreszcie zapewnić niezawodny i zupełny skutek.

W puszczach mazowieckich łowiono cietrzewie przeważnie w sieci na podgon. W tym celu spędzano stada cietrzewi na na pola, gdzie równocześnie przy ponętach zastawiano tak zwane cienie, maniaki lub bałwany, to jest bądź z sukna urobione wyobrażenia ptaków, bądź wprost wypchane ptaki. Nasz Cygański, niezrównany mistrz w swym zawodzie, nawet w braku tych wszystkich przyborów nie traci fantazyi i umie sobie poradzić. „Możesz postawić" powiada on „i polną sieć, jeśli ją masz, bo i tą cietrzewia dostaniesz, acz rzadko, ale wżdy dostaniesz, jedno je trzeba dobrze znęcić". W tym razie niezawodnie z miną tajemniczą, pogładziwszy wąsa, dumny ze swej wiedzy, wygłasza nową tajemnicę: „Brzyc (kwiat brzozowy) masz im stawiać, to jest rzęsę brzozową, żyto w miedzie maczać masz, sypać na taką sieć". W ogólności autor „Myśliwstwa ptaszego" i w tym kierunku jest niewyczerpany w opisie sposobów łowienia cietrzewi. Wprawdzie jego opisy dotyczących przyborów i całego kramu niezbędnych akcesoryi są nader trudne do zrozumienia dla obecnych pokoleń, jednak kto sobie potrafi uzupełnić w wyobraźni mimikę i ruchy, jakie musiały koniecznie towarzyszyć temu opowiadaczowi niezrównanemu sposobów prastarych łowiectwa, a w dodatku zapozna się z jego wyrazownictwem i z dyskursowym układem zdań — ten pojmie i zrozumie pozornie tylko w prostocie wykładu ukrytą treść. W ten sposób, jak są zredagowane opisy Cygańskiego, wielu ludzi jeszcze i podziśdzień mówi i tłumaczy swe myśli, jednak już dziś nikt w ten sposób nie pisze, i stąd pochodzi pozorna niejasność naszego jedynego ornitologa i sprawozdawcy łowiectwa ptaszego z XVI. wieku, który przytem wszystkiem „nie umiał pisma żadnego".

Gdy tylko broń palna zaczęła się szerzyć w łowiectwie, polowano z nią w sposób najrozmaitszy, zjeżdżano cietrzewie saniami na śniegu, gdy „odwilż na drzewie", a wreszcie strzelano je z budek na igrzysku. Jednak broń ta nie położyła tamy dawnym sposobom, w obec których trudno, aby w wielu okolicach mógł się cietrzew uchować przed doszczętną zagubą. Nastawiano prężynki na ziemi, pasieczki — to ponoża, również i na gniazdach, na drzewach znów zawiasy.

W obec właściwości cietrzewi, iż przebywają w lecie w znacznych stadach w pewnem miejscu, gdzie podostatkiem bywa żeru, sposoby opisane musiały należeć do nader wdzię-

cznych zajęć myśliwego. W zimie znów, osobliwie podczas ostrych wiatrów, wypatrywano ptactwo w zacisznych zakrzewieniach i tam ujęcie całych chmar ptactwa nie należało do rzeczy zbyt trudnych.

Prócz tych wszystkich sposobów niszczących a wykonywanych bądź przez klasy uboższe, bądź przez płatną służbę, mającą obowiązek dostarczać na stoły pańskie zwierzyny lotnej, według słów wojewody rawskiego: „Pan, który chce żyć, ma mieć myśliwca na kuropatwę, żórawia, cietrzewia, gęś i innego ptaka ku żywności należącego“ (Notaty gospodarcze Anzelma Gostowskiego str. 90 r. 1588) — uprawiały klasy możniejsze na wielką skalę łowiectwo cietrzewi z sokołem i jastrzębiem.

Praktyka łowów z unoszonym ptakiem jest niemal tak dawną jak dzieje naszego łowiectwa; ze wszystkich zaś kniejotków niezawodnie tylko cietrzew nadawał się do tego sposobu łowów, przebywając w pewnych porach na takich miejscach, na których użycie ptaka i sieci było możliwe. Szczególnie w późnej porze jesiennej, gdy cietrzewie stadami w odkrytych miejscach przebywały. wśród z rzadka podszytych łąk, lub w tak zwanych na Rusi „czacharach“, łowiectwo cietrzewi z ptakiem przy pomocy psów legawych i sieci, było nader popularną rozrywką panów i szlachty.

Wystawne wielkopańskie orszaki, rozporządzające wielką ilością unoszonych ptaków, nawet bez sieci mogły zbierać obfitą zdobycz. Jeźdzcy rzadkim szeregiem z sokołami na berłach posuwali się wśród rzadkich zarośli, a przed nimi kilkanaście wyżłów przebiegało teren, szukając cietrzewi. Gdy tylko cietrzew się zerwał, puszczano ptaka najbliższego, który w tym razie nie miał zbyt trudnego zadania.

Przy użyciu sieci nawet i jeden ptak wystarczał do ułowienia całych stad. Gdy wyżeł stado wystawił, puszczano ptaka na postrach, cietrzewie przypadały do ziemi, poczem z łatwością dały się nakryć rozjazdem, ciągnionym na sznurach przez dwoje ludzi. W ostatnich czasach sokolnictwa, już w drugiej połowie XVIII-go wieku, gdy broń palna weszła w ogólne użycie, dopomagał ptak puszczony na postrach do łatwiejszego podejścia cietrzewi na strzał.

Nie podlega najmniejszej wątpliwości, że z pomiędzy ptaków drapieżnych używane były do łowów cietrzewi tylko jastrzębie i sokoły; pierwszego, jako łatwiejszego do nabycia, używała przeważnie klasa uboższa. Owo krogulaszki, krogulce, o których tak często wspominają nasi autorowie ubiegłych epok, były właściwie jastrzębiami (*Astur palumbarius*) a jakkolwiek i krogulec bywał wyjątkowo unoszony, to jednak użycie tego ptaka ograniczało się li do łowów na ptactwo drobne, a już wcale nie był on zdolnym do roli, jaką krogulcowi przypisywało łowiectwo historyczne.

W tłumaczeniach ksiąg Krescentyna, dokonanych po raz pierwszy przez A. Trzecieskiego w r. 1542 a po raz drugi przez Kłodzińskiego w r. 1570, znajdujemy *Astur* przetłumaczone na krogulec, który „bierze ptaki rozmaite wielkie, jako cietrzewie, kaczki etc.“ Nikt przecież wątpić nie może, że jest tu mowa o naszym dzisiejszym jastrzębiu, i nikt nie uwierzy, aby tak drobny ptak, jakim jest krogulec (*Astur nisus*), zdolnym był do walki z kaczką lub cietrzewiem. Wzmianki w pismach Reja, w „Dworzaninie“ Górnickiego, gdzie autor wspomina o szlachcicu, który „w rannym ubiorze cały dzień chodził, nosząc krogulca na ręku“ - upewniają aż nazbyt, że pod nazwą krogulca rozumiano w pewnych dzielnicach jastrzębia, używając go do łowów na grubsze ptactwo, podczas gdy u innych znów jastrząb był jastrzębiem — krogulec krogulcem. Szczególnie dokładnie uwidocznia różnicę tę „Myśliwstwo ptasze“:

Możny ptak jastrząb, kiedy się unosi,
Nie rad, kto go ma, o zwierzynę prosi,
Przyjąwszy k' sobie krogulaszka brata,
Jedź w pole z wiosny, w jesieni, wsrzód lata.

Natomiast skromnie się chwali w „Myśliwstwie ptaszem“ krogulec:

Mniejsze mnie pole, mniejszy ptak przystoi,
Przepióreczka, słowik, niech się mnie ten boi.
Piękna zabawka ze mną w polu bywa,
Gdy mnie ćwiczony myśliwiec używa.

Króciutki ten szkic historycznego łowiectwa cietrzewi wystarcza już sam przez się do wykazania wielkiej odporności gatunku. Jeżeli się on nie zatracił wśród wieki trwającego eksterminacyjnego sposobu łowów, gdy z pogromu tego jakaś setna część uratowała się aż w nasze czasy, bądź pod skrzydłem Archeusza przyrody, bądź wskutek nadzwyczajnej płodności — to już wcale usprawiedliwioną możemy mieć nadzieję, że zwierzostan ten posiadać będzie i pocieszną kartę w przyszłości, odkąd nowoczesne łowiectwo wypisało nową dewizę na swych sztandarach. Stąd i traktat niniejszy o naszym cietrzewiu — jak to przynależy kwestyi żywotnej i realnej — przybrał nieco szersze ramy.

Mając zapewne na oku obraz historycznych łowów cietrzewia, niemniej wyznawszy się doskonale w jego naturalnych wymogach, wielu z nowszych autorów na zachodzie wygłasza co do znaczenia zwierzostanów cietrzewich dla łowiectwa nowoczesnego zdania wcale sprzeczne wyobrażeniom, o których już wspomniałem. Autorowie ci, opierając się na nieco głębszem rozpoznaniu przedmiotu, nie godzą się wcale z myślą, jakoby obecność świetnych zwierzostanów cietrzewi dawała nieomylną wskazówkę opłakanego stanu gospodarstwa leśnego, a świadomość skutków, jakie racyonalna ochrona w kulturnym lesie za sobą pociąga, i czego już niezliczone mamy dowody, upoważnia ich do zdania, które pomiędzy innymi znajdujemy również i w popularnem dziele Brehma: „*Nur da, wo eine geordnete Forstwirthschaft eingeführt ist, geniessen die Rauhfusshühner des Ihnen nothwendigen Schutzes*“.

Ostatnimi już czasy, chcąc ożywić ptactwem leśnem ubogie pod tym względem rewiry, rzucono się do prób aklimatyzacyi rozmaitych gatunków ptactwa egzotycznego. W roku 1880 pierwszy Hr. Brenner wprowadził do swych lasów w Tuln, na Dunajem w Austryi Dolnej, chów indyków amerykańskich (*Meleagris gallopavo*) znajdując licznych naśladowców nietylko w monarchii ale i w Niemczech. Nieco później rozpoczęto na polu europejskiej aklimatyzacyi łowieckiej próby z przepiórką leśną amerykańską (*Ortyx virginiana*), z czubatką (*Lophoortyx*). I wielu jeszcze innych mieszkańców dziewiczych puszcz amerykańskich przybywa w celach podobnych do Europy, znajdując w nowej ojczyźnie częstokroć grób przedwczesny, bo do zadań niełatwych należy przyswojenie organizmu innych podniebi i stosunków.

Zadanie to, leżące z pewnością w zakresie obecnych prac kulturnych, winno być spełniane przez wszystkich posiadających ku temu możność i środki, i praca ta szlachetna może postępować w nieszkodliwej paraleli z pielęgnowaniem rodzinnej natury. Kto przeto chce i może, niechaj pali ofiary na rzecz aklimatyzacyi, której doniosłości nikt z góry w specyalnym wypadku przewidzieć nie może. Ogół wszakże, nie mogący się puszczać na niepewne wody, niechaj płynie z tym prądem, jaki mu rodzima wskazuje natura, bo już wcale nie na czasie byłyby na szersze rozmiary próby aklimatyzacyi tworów egzotycznych tam, gdzie tyle jeszcze nietkniętych odłogów rodzimej natury rozlega się w około.

Stąd pierwsza myśl wszystkiemu, co od wieków zrosło się z tym pasmem ziemi co żyje w teraźniejszości i co zakwitnąć może dla późnych pokoleń pod opieką kulturnej ręki. A gdy w całej pełni rozwinie się ojczystej natury kwiat, gdy do wspaniałej jej szaty wypadnie kochance przypiąć jeszcze bukiecik wychuchany — to utartymi szlakami zlećcie do nas zamorskie Meleagry, Wirginki, Czubatki, złote i srebrne bażanty, i w falach oceanu utopcie próżne żale i tęsknoty, gdy wola rozwielmożnionego pana ziemi, spełniwszy swój obowiązek względem tworów osadzonych w rodzinnej jego krainie, zrządzeniem praw odwiecznych zgotuje tam i dla was ustroń powabną.

KONIEC.

W noc wigilijną.

— Są konie z Gajowa?

— Są!

Parobczak w dziurawym kożuszku, siny od mrozu, uśmiechnięty przyjaźnie, stanął przed pytającą, wskazując ręką na siebie, a potem na sanie kilimkiem przykryte, zaprzężone parą tłustych mierzynów.

— A druga panienka? — zaraz spytał.

— Jest i druga.

Chłopak zajechał pod ganek stacyi, ułożył pakunek, otulił starannie nogi panienek, wgramolił się na kozieł, parę razy zgrubiałe dłonie „zabił", zagarnął lejce, cmoknął na konie i ruszył z kopyta.

Wylecieli w pole równe, płaskie, pokryte marną sośniną, brzózkami i jałowcem. Jak okiem zajrzeć, nie było ludzkiej siedziby.

Mróz był siarczysty, z wiatrem przejmującym do kości. Nosy panien, które ledwo widoczne były z pod kapturów i chustek, poczerwieniały. Tuliły się jedna do drugiej, odwracały się, jak mogły, od wiatru. Przed nimi krwawo zachodziło zimowe słońce, tonąc powoli w mglistym tumanie śniegu.

— Czy dojedziemy przed nocą? — ozwała się jedna, spoglądając na chłopaka, stojącego na przedzie.

Obejrzał się ze zwykłym dobrodusznym uśmiechem. Brwi jego, rzęsy, końce włosów były białe od szronu.

— Dojedziem! — odparł. — Pan kazał duchem gnać, żeby na wieczerzę być.

— Trzy milę drogi mamy?

— A trzy, gadają ludzie. Do miasteczka wiorst dziesięć, a z miasteczka godzina jazdy. Panienki zmarzną, to się u Mendla w karczmie ogrzeją.

— A tobie nie zimno?

— Nie! — odparł ze śmiechem.

— W Gajowie służysz?

— Ale! Fornalem, już dziewięć miesięcy.

— A jakże się nazywasz?

— Michałko po chrzcie, Kuc po ojcach.

Konie biegły raźno. Szron je obielił po same uszy. Parobczak gwizdał na nie, napędzał, chwalił lub ganił.

— I tobie spieszno na wieczerzę — zauważyła starsza panienka.

— Ta pewnie, że spieszno — odparł. — Cały post odjem odrazu. Już ja wąchał w czeladnej, co tam za smaczności będą.

— Cóż będzie? — zapytały panienki, zarażone jego wesołością.

— Będzie juszka z grzybami i kluski z makiem, i słodkie gruszki gotowane. A każdy dostanie całego śledzia i wódki półkwaterek! Pani kazała stół obrusem zasłać, a sianam tam na dobrą pościel przyniósł, żeby potem każdy koń po kłapciu dostał. Słyszysz, gniada, i ty gryźć będziesz święte siano, to rwij z kopyta!

Gniada parsknęła, aż ją jakby dymem owiało, a chłopak dalej prawił:

— Potem z kolendą do dworu przyjdziemy. A potem na wieś skoczym pohulać...

Śmiał się, jak dziecko. Białe jego zęby z pośród posiniałych warg, oczy z pod rzęs migały radośnie, a mróz tymczasem malował się na jego twarzy białemi plamami, szczypał, jak gad, za uszy, dobierał się przez złą odzież do piersi i pleców.

Panienki umilkły. Nosy nawet pochowały, zgarbiły się, znieruchomiały. Zimno przejmowało je do kości; wicher, pomimo futerek, smalił jak ogniem.

Nie widziały już ani drogi, ani okolicy; przymknęły zmęczone oczy, trzęsły się chwilami. Zdały swe losy na Michałka i Opatrzność.

Zdawało się im, że jadą strasznie długo, ale bały się wyjrzeć na świat i zgoła nie wiedziały, co się dzieje.

Raptem sanki stanęły.

— Co tam? — spytały, wyzierając.

Przestraszyły się. Wicher już nie górą szedł, ale nisko, jak ostrze kosiarza, i rwał mroźny śnieg, i niósł go, i kręcił i siał.

Zrobiło się tak ciemno że tylko postać stojącego Michałka widniała, biała, jak bałwan śniegowy.

Gdzieś z boku mgliste świeciło światełko.

— Może panienki do Mendla wstąpią i pogrzeją się trochę? — pytał uprzejmie.

— To jeszcze nie Gajów?

— Gdzie? Jeszcze godzina drogi!

— Jezus Marya! A jakże to jechać, kiedy nic nie widać? Zostańmy tutaj do rana. Zginiemy w drodze, zbłądzimy, wilki nas opadną.

— Uchowaj Boże! Toć ja drogę znam, jak ścieżkę do swojej chaty! — wołał parobczak. — Ja panienki jak w biały dzień powiozę. Dalibóg, trafię! Krzynę się proszę nagrzać i dalej. Niedaleczko do domu, a tam z wieczerzą czekają.

— Kiedy my się boimy. Taka zadymka straszna!

Ale chłopcu zapachniały widocznie te specyały, których tak bardzo mu się chciało zakosztować, bo się im aż do rąk pochylił.

— Jak mi Bóg miły, nie straszno — uspakajał. — Toć do Gajowa całkiem blisko. Sośniaczek, grobelka i ot zaraz pańskie łąki i olszynka. Żebym ślepy był, tobym nie zmylił. Toć ja tą drogą i po pocztę, i po mięso, i po doktora do miasteczka jeżdżę mało nie codzień. Niech ta się panienki nie boją. A to dziś taka wieczerza, a my mamy, jak żydy, w karczmie siedzieć? Grzech nawet i obraza boska, a przed ludźmi wstyd!

— Michałku, tobie bardziej kluski i śledzie w głowie, niż nasze i twoje własne życie! — zawołała jedna z panienek.

— A jak nas wilki opadną? — wtrąciła druga.

— Co ma być! Cyganów one napastują i krawców żydowskich: nie słychać, by kogo innego.

— No, to jedźmy zresztą! — decydowała się starsza.

Ogrzali się chwilę w karczmie i ruszyli, jak się zdawało, bez drogi i śladu.

Zadymka szalała coraz zapalczywiej.

Minęli miasteczko i zapowiedziany sośniaczek. Widząc pewność woźnicy, panienki się uspokoiły.

Wyjechali na długą, a wąską groblę, usypyną wśród grzązkich zarośli łozy, i niebotycznych badylów nigdy niekoszonej trawy.

Wicher wściekły uderzał o nie, zarzucał śniegiem, gwizdał w obnażonych łodygach. W haszczu tym dzikim zdało się jednej z panienek, że coś świeci, jak robaczki świętojańskie w letnie noce...

Mignęło tu, tam i — zgasło.

Wtem nagle konie rzuciły się w bok.

Obejrzeli się wszyscy.

Z gęstwiny wysunęła się szara masa i stanęła opodal grobli na lodzie...

— Wilk! — krzyknęły panny dzikim głosem.

Michałko milczał, trzymając mocno chrapiące konie.

Z gąszczów wysunęła się druga szara plama, potem trzecia i czwarta... Skupiły się, zaskomlały, jak psy i truchtem poczęły biedz śladem sanek niedaleko.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się półgłosem Michałek.

— Uciekajmy! — krzyczały panny, prostując się pomimo mrozu, zrzucając z głowy okrycia, oglądając się za siebie. Wilki się rozdzieliły. Dwa szły jedną stroną drogi, dwa drugą, — zrównały się już z sankami. Konie pędziły, jak wiatr; wilki dotrzymywały kroku, co czas jakiś nawołując się przeciągłym, złowieszczym skowytem.

Michałko wiedział, że wilcze nogi wiatr dogonią; wiedział, że do Gajowa jeszcze mila.

Konie prawie niosły, ale bestye nie zostawały w tyle, owszem dobiegały sanek.

— Panienko — zcicha, głucho zwrócił się Michałko do starszej.

— Co? — spytała prawie nieprzytomnie.

— Weźcie lejce!

— Co takiego?

— Weźcie lejce. Konie drogę znają, pod ganek was prosto zawiozą. Nie trzeba kierować.

— A ty czemu trzymać nie możesz?

— Ja pójdę na wilki. Zostanę, to i one się od was odczepią. Dalibóg.

— Co ty gadasz! Co ty robisz!

Porwała go za kożuch, bo już jedną nogą był na ziemi, zsuwając się z sanek...

— Tak po sprawiedliwości — odparł. — Ja namówiłem was na tę drogę, biedę sprowadziłem, toć sam naprawić muszę! Weźcie lejce!

Oprzytomniały obie i, nie dbając już o wilki, porwały chłopaka i trzymały z sił całych.

— Zwaryowałeś! Nie ruszaj się!... O Boże! dzwonić trzeba!

— Niema dzwonka! — odparł, szamocąc się.

— Światło zapalić!

— Siarczyków nie wziąłem. Ja winienem, ja winien! Dalibóg pójdę!

— Nie pójdziesz! Krzycz, hukaj; może się zlękną.

To mu się podobało.

— Aha, ahu! Ahu, Ahuuu! wrzasnął z całych płuc.

— Aha, ahu! — zawtórowały drżące, słabe głosy.

Wilki dobiegały — konie stanęły raptem, odskoczyły w bok.

Wówczas biedni podróżni zaczęli wyć, skomleć, wrzeszczeć z całych sił, ze zgrozy, ze strachu.

Potem ochrypli, wyczerpani, zawodzili, niesfornie, fałszywie, strasznie.

Konie rozhukane niosły, stuliwszy uszy, chrapiąc i wierzgając.

Wilki szły za nimi, ale wolniej — dalej po łąkach, błyskały zielonawe ich ślepie.

— Boże! ratuj nas! — jęczały panienki.

— Śpiewać, panienki, śpiewać! — zdyszany, rozgorączkowany krzyknął Michałko.

I chrypiąc, zacinając się, fałszując, jął ryczeć prędzej, niż spiewać, wyuczoną niegdyś od organisty kolendę:

„A wczora z wieczora, a wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora, z niebieskiego dwora,
Przyszła nam nowina..."

Wpadli z grobli na pola, na łąki, między olszynkę.

Szalony pęd rzucał sankami. Śnieg z pod kopyt bił, jak śrutem.

Chłopak, nad końmi pochylony, nieprzytomny, bez czapki, śpiewał resztkami głosu; kobiety leżąc na spodzie sanek i trzymając się ich konwulsyjnie, pomagały mu, jak mogły.

Aż wreszcie Michał zachrapał tylko i, czując się oniemiałym, obejrzał się desperacko w stronę strasznego pościgu.

Ale za sankami były już tylko białe, gęste tumany, bezbrzeżna pustka i noc. Ni szarych plam, ni zielonawych iskier — nic...

I raptem zmieniona twarz Michałka zadrgała, skurczyła się i zza zsiniałych warg zabielały zęby.

— A co? — wyszeptał bez dźwięku. — Ja mówiłem, że one cyganów i krawców biorą! Ot, jak posłyszały, że my chrześcianie, wzięły i poszły!

Po chwili dodał:

— A ot, i doma jesteśmy. Wio, gniada! dostaniesz świętego siana. Uh! jak tu zaraz na dziedzińcu olej pachnie i pierogi...

. . . .

Przez całą wieczerzę i pół wieczora opowiadały panienki wujostwu swoją przygodę.

Gdy przed sienią ozwał się dzwonek i skrzypki kolędników, wszyscy wylegli ich słuchać i zobaczyć dzielnego Michałka.

Stał na samym froncie. Nie miał nawet czasu się okrzątnąć. Miał na sobie ten sam potargany kożuszek, na nogach postoły słomą wypchane, na twarzy ten sam dziecinny, dobroduszny uśmiech.

Znać tylko po nim, że misa klusek, druga zupy grzybowej, trzecia gruszek, czwarta pęcaku, cały śledź, pieróg i półkwaterek odreperowały go po poście i strachu... Świeciły mu się oczka małe, błyszczała twarz czerwona, nabrzmiała od mrozu.

Pokłonił się, obejrzał się po towarzyszach i zaintonował:

„A wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora,
Przyszła nam nowina...“

Odśpiewali i kolejno przystępowali do poczęstunku.

— Michałku! — zawołała młodsza panienka wesoło — inaczej śpiewaliśmy na saniach.

— Inaczej pannuńciu? — zapytał.

— Ano gorzej szło.

— Ktoby ta wilkom szelmom lepiej się starał! — odparł zuchwało.

— Ale co tej kolędy to chyba nigdy nie zapomnisz?

— I wilki się nauczyły, panuńciu!

Półkwaterek do rąk wziął, pokłonił się wszystkim:

— Daj Boże doczekać w szczęściu, zdrowiu Nowego Roku; a po Nowym Roku Trzech Króli, a po Trzech Królach daj Boże państwu w szczęściu, nam w zdrowiu za rok kolędy doczekać!

Wypił, kieliszek odstawił i na towarzyszy skinął.

Po chwili w mróz, w śnieżycę, ku wsi kolęda biegła:

„Rodzi jedynego,
Boga prawdziwego,
Za wyrokiem Boskim.
W Betleem żydowskiem!“

M. Rodziewiczówna.

DODNIOWKA.

Nie przypominam sobie dokładnie, czy to było przy końcu września, czy też z początkiem października, ale mniejsza o to! — dość, że chłód jesienny trochę już dokuczał i nie dawał bynajmniej wyobrażenia o słynnej piękności naszej ciepłej jesieni, kiedy to słońce rzadko kiedy się zasępia i niemal do połowy listopada szczerze do nas się uśmiecha, powodując tu i owdzie powtórne kwitnięcie poziomek, a często nawet i drzew owocowych. Zamiast tej poczciwej jesieni, grasowała nieznośna jej pasierbica, która, jak się raz rozmaże, to nie ma już końca jej płaczom — owa słotna jesień z uprzywilejowanym trzydniowym „kapuśniaczkiem“, zwanym powszechnie „szargą“.

Pewnego dnia po takiej trzydniówce, gdy się nieco wypogodziło, przybył do mnie mój przyjaciel, kolega myśliwy i zaledwie się przywitawszy, zagadnął:

— Masz ładunki gotowe?

Zamiast odpowiedzi, zapytałem również:

— Albo co?

— Bo jedziemy jutro na kaczki — wyjaśnił zwięźle.

— I owszem, w to mi graj! — zawołałem — mam szesnaście ładunków Nr. 8, więc spodziewam się, że to wystarczy.

— Co? szesnaście ładunków na kaczki? kpisz, czy co?

Kpić nie miałem wcale zamiaru, odparłem tedy, że myślę, iż szesnaście strzałów do kaczek na stawie i na ciągu wystarczy mi w zupełności.

— Podziwiam twoje skromne życzenia — rzekł mój przyjaciel. — Wprawdzie nie mogę cię naprzód zapewnić, ile razy strzelisz, ale wiedz mój drogi, że skoro trafimy na dobry ciąg, to możesz strzelić ze dwadzieścia razy, a do dnia przynajmniej z dziesięć. Zresztą, nie zapominaj o chwalebnej cnocie przezorności, która uczy, że lepiej kilka razy wrócić z zapasem ładunków do domu, niż raz doznać niemiłego braku.

— Dziękuję ci za przestrogę — rzekłem i chcąc skierować rozmowę na inny przedmiot, dodałem: — postaram się o to, aby mi ładunków nie zabrakło. Powiedz tylko, kiedy jedziemy?

— Przyjedź do mnie jutro na obiad, a najpóźniej o godzinie 2-ej popołudniu wyruszymy i około godz. 4-ej staniemy na miejscu. Bezzwłocznie pojedziemy na staw czółnami, aby odstrzelić, co się da, przed czółnem, wieczorem zaś, z chwilą zachodu słońca, staniemy na ciąg.

— Przyjmuję twój program w całości, z wyjątkiem przybycia na obiad.

— Jakto?

— Tak, że uważam za dogodniejsze dla nas obu, gdy zjem drugie śniadanie u siebie, a tobie nie będę robił ambarasu.

— Co za ambaras? Gdzie ambaras? Jaki ambaras? — zawołał mój przyjaciel. — Przecież widziałeś nieraz, że przybycie twoje nie robi nam w domu żadnego ambarasu, zwłaszcza, że moje baby (przepraszam za wyraz, lecz powtarzam go tak, jak go mój przyjaciel wypowiedział) dość ciebie nawidzą, i na dowód muszę ci powiedzieć, iż ciocia kazała, abym ci oświadczył, że jutro na obiad będzie barszcz!

— W takim wypadku — odezwałem się — popełniłeś wielki błąd, mój kochany, żeś nie zaczął zaraz od barszczu, bo za dobrym, wiejskim barszczem, jaki twoja ciocia przyrządza, poszedłbym bez wahania choćby na koniec świata!

— Zatem przyjedziesz?

— Tak — odpowiedziałem i uściskałem mojego przyjaciela, któremu się spieszyło.

Na drugi dzień było pogodnie. Zabrawszy tedy strzelbę i wyżła i przygotowawszy 60 ładunków pojechałem do mego przyjaciela. Zastałem go stojącego w bramie i oczekującego na mnie.

— Nie mogłem się ciebie doczekać — były jego pierwsze słowa — widzisz. że miałem dobre przeczucie, pogoda śliczna i będzie wyborny ciąg kaczek

— Byle się tylko deszcz skąd nie nawrócił — przerwałem — bo jadąc tu, widziałem kilka chmurek na zachodzie.

— A bogdajbyś był fałszywym prorokiem! — zawołał mój przyjaciel. — Ciągle wyszukujesz wszędzie najczarniejszej strony, nawet tam, gdzie ich najmniej spodziewać się można.

— Za to wychodzę lepiej, niż ty — odrzekłem — bo jestem wolny od rozczarowań.

Przyjaciel mój machnął ręką i rzekł:

— Chodź lepiej do chaty, bo tam już czekają na ciebie z barszczem, — i postępując przodem, wołał już z ganku:

— Dawajcie jeść!

Po obiedzie, przy którym mój przyjaciel naglił nas wszystkich do pospiechu, a sam szukając co chwila po kieszeniach, wołał: „Gdzie moja cygarniczka!“... „Nie daliście mi chustki!“... i t. d. — wyjechaliśmy z domu dwoma wózkami. Na moim wózku siedzieliśmy wraz z moim przyjacielem, a pod przednim kozłem ulokowały się z oznakami wzajemnej animozyi oba nasze wyżły, na wózku zaś mego przyjaciela jechał jego furman i trzeci towarzysz naszej wy-

prawy, strzelec, również myśliwy i dobry. Z początku rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych. Aż tak gdzieś w połowie drogi rzucił mój przyjaciel bystrem okiem po szerokiej równinie, na której od strony północnej rysowała się na widnokręgu wielka mogiła. Na zachód od tej mogiły widniało kilka grubych, pojedynczo i w znacznem od siebie oddaleniu stojących drzew, których suche konary sterczały jak pomniki dawno w pień wyciętego i wykorczowanego lasu. Był to jeden z pięknych obrazów naszego Podola. Westchnąwszy głęboko, w te słowa odezwał się mój przyjaciel:

— Spojrzyjno mój drogi na te szerokie równiny i osądź sam, jak to wszystko strasznie się zmieniło. Tam hen! jak ta mogiła, to najprawdopodobniej dawny szlak tatarski. Dzika horda, syta mordów i pożogi, pędziła tędy jeńców w jasyr za Dniestr, a dziś to szlak przelotu niewinnych gołębi, które rok rocznie w jesieni tędy przeciągają. Nie uwierzyłbym nigdy, gdybym sam na własne oczy nie widział, jak wielka ilość dzikich gołębi tędy przelatuje i w czasie pogody przez parę dni tutaj na popas zostaje. Przed kilkoma laty przejeżdżałem tędy w porze jesiennej i tu właśnie, gdzie jesteśmy, spostrzegłem taką ilość gołębi, żem się zdumiał w pierwszej chwili, i zapomniałem zupełnie, że mam strzelbę ze sobą. Ależ było i czego dziwić się, bo jak okiem sięgniesz, tędy na lewo od drogi, cała przestrzeń była pokryta gołębiami. Gdy pierwsze wrażenie przeminęło, chwyciłem strzelbę, lecz zanim ładunki włożyłem, zerwała się cała chmura, choć już zapóźno, bo miałem jeszcze tyle czasu, że zdołałem w sam środek, acz na znaczną odległość, posłać strzał ze skutkiem nadspodziewanym. Siedm sztuk spadło z dymem, a dwie podjąłem dalej po drodze, jadąc w tym kierunku, którędy gołębie odleciały. Tu znowu bliżej, na południe od mogiły, gdzie stoi przy drodze samotna karczemka, do której zdążamy, polowałem z księdzem kanonikiem na przepiórki i kuropatwy, a w około karczemki na zające, które ks. kanonik nazywał „pijakami“, dlatego, że ubijaliśmy je w oddaleniu stu kroków od karczemki. A tam — het! dalej, gdzie się ciągną te ciemno-zielone smugi oziminy, ubiłem kulą dropia w dziwny sposób, albowiem kula nie dosięgła go w prostej linii, lecz zrykoszetowawszy przed nim na kilkadziesiąt kroków, trafiła go następnie w sam łeb. Przed kilkunastu laty było tutaj dosyć zwierzyny, nietylko drobniejszego ptactwa łownego, jak przepiórki i kuropatwy, ale nawet dropie można było napotkać stadami po kilkanaście sztuk. Powiedzże mi, gdzie to wszystko się podziało? Czy strzelców (nie powiem myśliwych, bo tych w ogóle za mało) za dużo, czy jakie licho?

— Mnie się zdaje — odparłem — że to intenzywna gospodarka rolna wypędziła dropie z tej okolicy. Drop, z natury bardzo płochliwy, nie znajdując na dłuższy czas ani wysokich traw, ani też ścierni, nie ma gdzie wychować dropiąt i dlatego cofa się na Ukrainę, gdzie w stepach znajduje jeszcze potrzebny spokój do lęgu i wychowania młodzieży. Kuropatwa zaś, pozbawiona, szczególnie w porze jesiennej, wszelkiego ukrycia, stała się najprawdopodobniej pastwą drapieżców jastrzębiego rodu, zając zaś, ten potulny komornik chłopskich ról, padał dotychczas i najprawdopodobniej długi czas jeszcze będzie ginął pod razami pastuszych kijów i pod uderzeniem chłopskiego „istyka“ w czasie orki.

— Może być, że masz słuszność — rzekł mój przyjaciel — ale w takim razie, jakże smutna przyszłość pod względem polowania czeka nasze dzieci!

— I nas samych — dorzuciłem żartobliwie, wskazując ręką na nadciągającą ku nam i widocznie w deszcz brzemienną chmurę.

Mój przyjaciel zrozumiał, co mam na myśli i wykrzyknął przerażony:

— Bój się Boga! taż to chmura!

— A tak! — potwierdziłem.

— Więc cóż zrobimy?

— Przedewszystkiem wdziewajmy bundy, aby nas deszcz nie zmoczył do nitki — odpowiedziałem z determinacyą — a potem zawracajmy i jedźmy do domu.

— Ej! popatrzno po widnokręgu — mówił mój towarzysz nie tracąc jeszcze nadziei — chmura widocznie idzie bokiem, a zresztą wszędzie pogoda.

W tej chwili jednak zerwał się silny wicher i rzucił nam prosto w twarz grubemi kroplami deszczu, zmieszanego z krupami lodu, tak, że oczu nie można było otworzyć. Mój przyjaciel, zaciągnąwszy kapuzę na głowę, umilkł, ale widocznie był zły, gdyż spluwał ze złości i wyrzucał ciągle przekleństwa, z których wyrozumiałem tylko „szlaki“, „pioruny“ i energiczne ruskie przekleństwo, przeznaczone widocznie dla szargi. Na szczęście deszcz lał niedługo, a potem znowu się wypogodziło. Mój przyjaciel, zrzuciwszy kapuzę z głowy, zawołał wesoło:

— A co, nie mówiłem? Chmura poszła bokiem.

Idąc za przykładem mego towarzysza, odrzuciłem i ja kapuzę w tył, a zbadawszy okiem obłoki, rzekłem:

— Wszystko dobrze i pięknie, ale tam, na zachodzie, widzę jeszcze ciemną smugę.

— Mój drogi, proszę cię, nie irytuj mnie! — wybuchnął mój przyjaciel już rozdrażniony. — Ja sam nadrabiam tylko miną, czując wewnątrz jakiś niepokój, a ty jeszcze prorokujesz złe jak puszczyk!

— No, no, uspokój się — pocieszałem. — Ty kochasz tylko staw, las i zwierzynę, a ja tak samo, i bądź pewny, że dotrzymam ci wszędzie, chocbyś do piekła szedł na polowanie.

— Jeżeli w piekle urządzają polowania na kaczki z tak uprzejmymi towarzyszami, jak ty, to zaręczam ci, że bez ciebie tam nie pójdę — odciął się mój przyjaciel.

Zamilkłem, żeby go dalej nie drażnić i jechaliśmy w milczeniu aż do miejscowości, gdzie polowanie odbyć się miało. Dopiero, gdy wózki nasze stanęły na pagórku, dominującym nad stawem, podał mi mój przyjaciel uprzejmie lornetkę i rzekł, uśmiechając się:

— Gołem okiem sięgałeś przez całą drogę aż na zachód, więc chciejże popatrzyć teraz przez te szkła nieco bliżej, bo tylko na staw i powiedz, ile tam jest kaczek?

Skierowałem szkła na staw i po kilku chwilach patrzenia zwróciłem je właścicielowi, mówiąc:

— Na środku stawu, tuż koło okrągłej kępy lepiechu, od strony grobli, żeruje kilkanaście krzyżówek, a tu przy bocznym lepiechu z lewej strony stawu widziałem kilka cyranek i łysek, zresztą nie dojrzałem nic więcej.

Zanim skończyłem mówić, już mój towarzysz badał pilnie staw przez lornetkę i odejmując ją od ócz, rzekł:

— Tak jest! Przeoczyłeś tylko cztery krzyżówki, które siedzą pod lepiechami z prawej strony stawu. Więc teraz hajda! na staw.

Nie tracąc czasu zeszliśmy na groblę, gdzie przy młynie stały przypięte na łańcuchach dwa czółna i zamierzaliśmy ruszyć zaraz na staw. Lecz jakiś fatalizm ciężył na naszej wyprawie, gdyż się pokazało, że mielnik, który dobrze umiał czółnem powozić, upił się na chrzcinach i spał

jak zabity, czeladnik zaś czółnem jechać „bojał się“. Wreszcie znalazł się jakiś wyroste który twierdził, że sunie „czownom, jak sankamy po łe u“.

— Ne howory bohacio, no bery żerdku i hony! — krzyknął w złości po rusku mój p zyjaciel. Potem zwrócił się do trzeciego towarzysza nasz wyprawy, strzelca, i kazał mu, aby wsiadłszy do drugiego czółna, zawiózł mnie pod lepiech po lewej stronie stawu.

— Ukrywszy się w lepiechu — rzekł — będziecie strzelali w lot i na wodzie, gdyż przypuszczam, iż skoro spłoszę kaczki tam w górze na rzece, to one krążąc ponad stawem, będą zapadały tu bliżej, przy lepiechach.

Wiedząc z doświadczenia, że dwom myśliwym, stojącym w jednem małem czółnie, nietylko jest niewygodnie, ale często nawet wzajemnie sobie przeszkadzają, zaproponowałem, abyśmy wszyscy trzej osobno na stawie się rozlokowali, zwłaszcza, że umiem powozić wiosłem i żerdzią, i na wskazane miejsce bezpiecznie zajechać potrafię.

— Jeśli umiesz powozić — rzekł na to mój przyjaciel — to jedź sam, a zwróciwszy się potem do strzelca, kazał mu iść brzegiem w górę stawu i stanąć na wysepce od strony wsi, zalecając przytem, aby nie strzelał, dopóki jego strzału nie usłyszy. Strzelec odwrócił się jak żołnierz na komendę i oddalił się spiesznie, poczem i my obaj w towarzystwie wyżłów weszliśmy w czółna i odbili od brzegu.

Gdy przyjaciel mój zobaczył, że czółno którem kierowałem, posuwało się wprost do oznaczonego punktu, zaczął kiwać ku mnie ręką w sposób wyrażający dla mnie pochwałę, ale wkrótce potem zauważyłem, że groził zaciśniętą pięścią. Zrazu sądziłem, że i ten gest do mnie się odnosi, lecz zauważywszy, że przód jego czółna, po każdem zanurzeniu żerdzi w wodzie, zwraca się to w prawo, to w lewo, a mój przyjaciel odwraca się co chwila i rękę w górę podnosi, domyśliłem się, że grozi pięścią swemu przewoźnikowi, który powoził zaiste jak sankami bez dyszla po lodzie. Pchnąwszy moje czółno silnie naprzód byłem już po kilku minutach ukryty w lepiechach.

Przygotowałem się do strzału usiadłszy na ławeczce czółna i oczekiwałem niejaki czas na pierwszy strzał mego przyjaciela. Nareszcie rozległ się huk. Wyżeł mój podniósł uszy i zaczął wietrzyć, a ja słysząc od czasu do czasu charakterystyczny świst kaczego lotu to z przodu, to z tyłu, to po bokach, obracałem głowę, jak kręciegłówka, ale do strzału przyjść nie mogłem, bo kaczki krążyły za wysoko. Naraz zachmurzyło się niebo i szarga rozpoczęła się ponownie. Mimo to w górze stawu padały strzały dość gęste. Czułem, że deszcz zaczyna mi już cieknąć za kołnierz, ale karny, jak żołnierz na pikiecie, nie ustępywałem z powierzonego mi stanowiska.

Nareszcie przeleciał kaczor krzyżowy nademną i spuścił się na wodę koło kępy lepiechu, w środku stawu. Strzeliłem do niego i miałem tę przyjemność, że został na wodzie i trzepał lotami, ale podnieść się nie mógł. Widocznie dostał postrzał w krzyż. Byłem pewny, że zostanie na miejscu i dlatego nie strzelałem z drugiej lufy. Wyżła zaś nie posyłałem z umysłu, aby się przyuczył, że nie po każdym strzale winien iść do wody. Nieco później strzeliłem w lot do podgorzałki i widziałem jasno, jak strzał naznaczyła, ale mimo to poleciała dalej w górę stawu. Z kolei strzeliłem do cyranki. Padła jak szmata na wodę.

Ponieważ przez dłuższy czas, mimo że pogoda znowu zajaśniała, nie było słychać żadnego strzału, więc wycofawszy czółno z lepiechu, podjąłem nasamprzód cyrankę, a potem podpłynąłem do miejsca, gdzie leżał na wodzie kaczór. Niestety, mimo troskliwego poszukiwania, nie znalazłem go nigdzie.

Nie wiedząc, co dalej czynić, zamierzałem wrócić na moje pierwotne stanowisko, gdy wtem zobaczyłem zbliżające się ku mnie drugie czółno, a w niem, stojącego z zawieszoną na szyi strzelbą, mego przyjaciela. Stał nieruchomo, jak posąg, w postawie nieco przygarbionej, z wzrokiem utkwionym w dno czółna, widocznie zamyślony głęboko, gdyż nie zwracał na nic uwagi, a nawet nie groził już przewoźnikowi, mimo, że czółno ciągle zygzakiem chodziło. Gdy się zbliżył na taką odległość, że rozmowa bez podnoszenia głosu stała się możebną, podniósł oczy i spojrzał na mnie jakimś tak smętnym wzrokiem, żem się przeraził, myśląc w pierwszej chwili, że jest chory. Przed godziną wyglądał jeszcze po ludzku, teraz zaś był podobny do szkieletu, powleczonego blado-żółtą skórą. Na szczęście nie był chory, gdyż po chwili dziwnego patrzenia, zapytał mnie zwykłym, niezmienionym głosem:

— Ile razy strzeliłeś?

— Kilka razy.

— No, i co?

— Ubiłem cyrankę i krzyżowego kaczora, a ponadto postrzeliłem mocno podgorzałkę, bo wyraźnie naznaczyła, że dostała postrzał.

— A podniosłeś?

— Jedną, jedyną cyrankę — odparłem.

— A ja nic! — wykrztusił z wysiłkiem. — Czy ty słyszysz? Nic! Tak jest, ani piórka! Co to jest, niech mi kto wytłumaczy.

Potem zamyślił się znowu, lecz za chwilę ocknąwszy się, drgnął cały i zawołał:

— Ach jedźmy, bo już czas na ciąg.

Obaj ruszyliśmy czółnami. On zaś jeszcze dodał:

— Jedź prosto w górę stawu pod lepiech środkowej kępy, a ja stanę tu bliżej przy brzegu z prawej strony stawu, bo z przeciwnej strony stoi na wysepce strzelec.

Rozjechaliśmy się. Zaledwie odpłynąłem kilkadziesiąt kroków, usłyszałem w kierunku, którędy mój przyjaciel się oddalił, jakiś przytłumiony swar, prowadzony w ruskim języku, potem tupot nóg po czółnie, następnie jakieś niby szamotanie się i głuche uderzenia, w końcu plusk wody — i wszystko się uciszyło. Zaniepokojony tym wypadkiem, oglądnąłem się, lecz nie mogąc nic dojrzeć, bo czółno mego przyjaciela było już za lepiechem, nasłuchiwałem przez chwilę. Nie słysząc żadnego wołania o ratunek, uspokoiłem się wreszcie i popłynąłem dalej.

Przypłynąwszy do wskazanej mi kępy, ukryłem się wraz z czółnem w lepiechu i miałem tak wyborne stanowisko, jak lepszego życzyć sobie nie można. Przedemną rozpościerało się dość obszerne, całkiem czyste lustro wody, gdyż tylko gdzieniegdzie ukazywał się na powierzchni okrągły liść wodnej lilii, z prawej zaś i lewej strony ciągnęły się między lepiechami na kilka metrów szerokie wodne gościńce, tak, iż mogłem widzieć, nie będąc sam widziany.

W kilka minut zaczęły przylatywać kaczki, które poprzednio, w czasie naszej dziennej strzelaniny, gdzieś były odleciały. Tym razem przypadł mnie strzał pierwszy w udziale. Strzeliłem dwa razy do krzyżówki. Jak kosą ścięta runęła na dół, wywracając już w powietrzu koziołki przez głowę. Spadła na wodę, do góry brzuchem i leżała bez ruchu z głową zanurzoną w wodzie. Z kolei strzelali naprzemian mój przyjaciel i strzelec. Następnie strzeliłem znowu do krzyżówki. Spadła. W końcu, po kilku strzałach moich towarzyszy, strzeliłem do trzeciej kaczki, ale już nie wiem ja-

kiego gatunku, gdyż zaczynało się ściemniać, i strzeliłem tylko po lufie. Po strzale widziałem ją jeszcze, jak spadała ukośnie. Prawdopodobnie była zbarczona, ale co się dalej z nią stało nie wiem, bo padła w lepiech. Nauczony wypadkiem z krzyżowym kaczorem, zwracałem co chwila baczne oko na ubite ptaki, przez co przepuściłem koło siebie parę kaczek bez strzału. Gdy się całkiem ściemniło, wysunąłem czółno z lepiechu i podpłynąłem w miejsce, gdzie leżały kacze trupy, ale niestety wyżeł podjął tylko tę kaczkę, która, jako trup, padła z kolei druga. Pierwsza znikła gdzieś bez śladu.

Słysząc nawoływania mego przyjaciela, popłynąłem w kierunku grobli, lecz pomimo, iż czółno silnie popychałem, nie mogłem go dogonić i zbliżyłem się doń tylko o tyle, żeśmy ze sobą „na głos“ rozmawiali, nie widząc się wzajemnie. Dopiero w pobliżu grobli, którą odblask światła z pobliskich chat nieco więcej oświecał, zobaczyłem, jak mój przyjaciel sam czółno popychał i już do brzegu przybijał. Przewoźnika w czółnie nie było. Mając na pamięci słyszany przezemnie, przed ustawieniem się na ciągu, niezwykły plusk wody, przypuszczałem nieszczęście; sądziłem, że przewoźnik wypadł z czółna i utonął. Chcąc jak najprędzej nabrać pewności w tym względzie, przyspieszałem jeszcze więcej jazdę, a będąc już tylko o kilka kroków oddalony od czółna mego przyjaciela, zapytałem:

— Cóż to? ty sam?

On zaś, mając na myśli brak kaczek, a nie przewoźnika — odpowiedział lamentującym głosem:

— Oj sam bracie! sam! To jakieś skaranie boże!

Otrzymawszy taką odpowiedź, wygłoszoną głosem rozpaczy, byłem pewny nieszczęścia. Podniosłem też szybko żerdź do góry i zanurzywszy ją zaraz potem w wodę, oparłem się o nią całą siłą i popchnąłem czółno naprzód. Był to ruch wielce nieroztropny. Żerdź, zanadto mocno naciśnięta, ugrzęzła tak głęboko w błocie, że mi się z rąk wyrwała, a ja pozbawiony punktu oparcia, zachwiałem się i o mało nie runąłem. Na szczęście miałem jeszcze tyle przytomności, żem się pochylił naprzód i chwyciwszy rękami za poprzeczną deskę, wpadłem tylko prawą nogą do wody, podczas gdy lewa po kolano pozostała w czółnie. Wskutek ciężaru po jednej stronie przechyliło się czółno i było bliskie wywrotu. W chwili tej uczułem, że woda ogarnęła moje ciało do takiej wysokości, do jakiej sięga zwyczajnie przy kąpielach nasiadowych.

Mój przyjaciel spostrzegłszy, co się zemną dzieje, przeraził się ogromnie i natychmiast pospieszył mi z pomocą, ale omal, że sam nie wypadł z czółna. Chcąc uniknąć podwójnej katastrofy, prosiłem, aby mnie zostawił własnemu losowi, a sam może się prędzej wydobędę. Jakoż, używając prawej nogi niby wiosła, zdołałem z wielką biedą wygramolić się na czółno, którego przód opierał się już o groblę.

Wyszedłszy z czółna na groblę uczułem, że woda spływając w dół od pasa nalała mi się do buta z lewej nogi. Nie było więc między jedną a drugą nogą już żadnej krzywdy. Jak tylko znalazłem się na brzegu, przystąpił do mnie mój przyjaciel i rzekł:

— Bój się Boga! Cóż ty teraz zrobisz?

— Et, głupstwo — odparłem — ale powiedz, co się stało z przewoźnikiem?

— A ten gałgan! Nie dość, że czółnem kierować nie umiał, ale jeszcze pyskował, więc zirytował mię do tego stopnia, żem go z czółna wyrzucił, oczywiście w miejscu, gdzie woda tylko po kolana. Wylazł na brzeg i poszedł gdzieś do dyabła.

— Chwała Bogu! — rzekłem uspokojony. — Mam więc w tej chwili już tylko jedno pragnienie, t. j. wylać wodę z butów.

— No, to chodź czemprędzej do chaty mielnika — rzekł mój przyjaciel i krzyknął na strzelca, żeby mi szedł pomódz przy rozbieraniu.

Weszliśmy do chaty, oddalonej o kilkadziesiąt kroków. Nie miałem czasu rozglądnąć się po chacie, a już mię porwali w swoje ręce strzelec i mielniczka. Na poczekaniu zdjęli ze mnie buty i wylali wodę, a potem ściągnęli z dolnej części ciała suknie i bieliznę i natychmiast wykręcili o ile się dało. Mielniczka chciała jeszcze suszyć bieliznę przy piecu, ale ponieważ siedzenie na gołej ławce w pozycyi modlącego się Turka, zamiast zagrzać mnie i zapalić do żarliwej modlitwy, jeszcze bardziej ziębiło, przeto prosiłem, aby mi zabrane rzeczy zwróciła. Otrzymawszy je napowrót, odziałem się z pospiechem i obuwszy buty, których naciąganie na nogi, z powodu przemoknięcia, wymagało pewnego natężenia, byłem gotów do wyjścia.

Gdyśmy się znaleźli wszyscy trzej na dworze, zaczął mię ciągnąć mój przyjaciel do obejścia drugiego chłopa, gdzie stały nasze konie i wózki, ale nie usłuchałem jego nalegań; wolałem się przejść, aby rozgrzać skostniałe członki. Udałem się też ze strzelcem do czółen, aby zabrać kaczki, które mnie tyle utrapienia kosztowały.

Wracając od czółen dowiedziałem się od strzelca, że ubił dwie cyranki, z których jedna padła w lepiech, a druga leży na czystem, i dopiero jutro po nią czółnem pojedzie.

Przybywszy na miejsce, gdzie nasz tabor się rozlokował, zobaczyłem mego przyjaciela przy świetle latarni, leżącego na wznak w stodole na słomie i trzymającego obie ręce podłożone pod głowę. Był widocznie zamyślony, gdyż nieruchomo patrzył na banty. Ponieważ się do mnie wcale nie odzywał, więc i ja nie uznałem za potrzebne przerywać jego milczenie. Stan ten nie trwał jednak długo. Zaledwie przestąpił próg stodoły trzeci nasz towarzysz, już się podniósł mój przyjaciel i bez sprawdzenia winy napadł na niego z całą furyą, że mu zwichnął strzelbę podczas przecierania. Strzelec się tłumaczył i zapewniał, że tego nie zrobił, ale ponieważ nic nie pomagało, więc umilkł. Widząc, że biedak niewinnie znosi burę, próbowałem wziąć go w obronę i przyjaciela mego uspokoić. Rzekłem więc żartobliwie:

— Skoro mniemasz, że strzelba jest zwichnięta, to nie ma jeszcze powodu do rozpaczy. Jest i na to rada.

— Jaka?

— Powieś strzelbę na kołku lufami do góry, a do rana się wyprostuje.

— At, niedorzeczności! — ofuknął mnie, zły jak osa.

— Napadasz innych, a sam jesteś winien! — odciąłem.

— Co? ja winien? — zwrócił się do mnie zaperzony.

— Przeziębnąłeś zapewne, czego nawet nie zauważałeś, od zimna członki ci zesztywniały, straciłeś potrzebną do szybkiego składania się zwinność i to przyczyna pudeł.

Przez chwilę milczał i myślał, a potem przemówił głosem już miękkim:

— Czy taki był powód chybnych strzałów, orzec nie mogę, bo zimna nie czuję, ale tego jestem pewny, że mi

się to po raz pierwszy w życiu wydarzyło, żebym strzelił przeszło dwadzieścia razy i nie podniósł ani piórka.

— I to dobre — rzekłem. — Nabrałeś wprawy w pudłach, to już więcej chybiać nie będziesz.

— Słuchaj! — odparł całkiem już udobruchany. — Jeżeli nie przestaniesz mi docinać, to cię zastrzelę jak kaczkę.

— O! wa! kiedy masz strzelbę krzywą!

Na to roześmialiśmy się obaj i spór się zakończył.

Po niejakiej chwili milczenia ruszył się nagle mój przyjaciel i rzekł:

— Ale, oho! — zapomniałem. Wiesz co?

— Dopiero się dowiem, gdy powiesz.

— Przysyłał tu twój szkolny kolega, ruski ksiądz parobka i kazał powiedzieć, że bardzo nas prosi, abyśmy do niego przyszli.

— A ty? — spytałem.

— Ja poszedłbym, tylko nie wiem, co ty biedaku zrobisz po tej przeklętej kąpieli?

— O mnie się nie troszcz wcale. Bielizna przylgnęła mi do ciała i czuję obecnie, że mi się skóra wydelikaca, a zresztą nic mi nie brakuje.

— Więc?

— Chodźmy! Z góry księdzu opowiem, jaki miałem wypadek, to może nie zechce nas długo zatrzymywać.

Zostawiając wyżły pod opieką strzelca, poszliśmy.

Przybywszy na plebanię i ogarnąwszy trochę błota z obuwia, weszliśmy do izby, gdzie zastaliśmy gospodarza i jeszcze dwóch gości, siedzących przy stole i grających w karty. Gdy gospodarz nas zoczył, poskoczył zaraz, witając gościnnie.

— Chwała Bogu, żeście przyszli! — zawołał. — Myślałem, że już nie przyjdziecie wcale, boście dali długo na siebie czekać.

— Gdybyś ty kochany — rzekłem — był w takiem położeniu, jak ja, to nietylko, żebyś nie przyszedł, ale kazałbyś się przynieść. — I opowiedziałem mu pokrótce całą moją przygodę, a zakończyłem apelem:

— Daj wódki!

— I owszem — zawołał ksiądz rozweselony i poskoczywszy do umieszczonej w ścianie szafki, wyjął butelkę, a stawiając ją na stół, rzekł:

— Na! Masz tu wyśmienity Alasz!

— Alasz? — rzekłem. — Jak ty, będąc również myśliwym, możesz mię traktować słodką wódką?

— Przepraszam cię, ale innej nie mam. Dam ci jednak radę. Zamiast jednego kieliszka, pij dwa, to na jedno wyjdzie. Gdyby cię wszakże i dwa kieliszki nie rozgrzały — mówił dalej, przebierając ton żartobliwy, — to siadaj z nami do „krótkiego“, a zaręczam ci, że po kwadransie uczujesz gorąco w całem ciele.

Do gry w karty nie miałem nigdy pociągu, a tem mniej teraz, kiedy byłem mokry do pasa, więc się wymawiałem.

— A może ty się boisz, że my za wysoko gramy? — mówił ksiądz żartobliwie. — My się bawimy całkiem skromnie, ot tak: „Para wołiw vizo, a besser czetyry firy sina“, a potem, gdy się który z nas zgra już do nitki, to zabiera „szmatie i marsz w dubynu“!

— Skoro tak skromnie gracie — rzekłem — to może lepiej będzie dla mnie i mojego przyjaciela, jeśli odrazu pójdziemy w „dubynu“! Przypuszczam bowiem, nie ubliżając memu towarzyszowi, że z nas obu nie wytrzęsiesz nawet tyle hroszi, ile trzeba na jednę furę siana.

— My przyjmiemy i to, co macie — rzekł ksiądz, — bo naprawdę gramy tylko „szóstkowego“.

Ponieważ dalej opierać się byłoby już niegrzecznością, więc napiwszy się wódki, siedliśmy do gry i z przerwą na kolacyę, przesiedzieliśmy aż do godziny 3-ej nad ranem. Widząc, że mój przyjaciel dysponuje na stole już tylko centami, popatrzyłem na zegarek i rzekłem:

— Kochany koleżko! Dziękuję ci bardzo pięknie za gościnność, ale ponieważ mamy jeszcze jechać na staw na dodniówkę, więc sądzę, że już najwyższy czas, abyśmy ja i mój przyjaciel poszli w „dubynu“.

Ponieważ i mój przyjaciel nie taił chęci odejścia, zatem skończyliśmy grę i odeszli.

Wróciwszy na kwaterę, mieliśmy jeszcze dosyć czasu. Ale o spaniu nie było już mowy, więc zdecydowaliśmy się pojechać na staw niezwłocznie.

Jadąc czółnem na stanowisko, zmoczyłem na domiar złego jeszcze rękawiczki. To też przybywszy na stanowisko, a będąc ciągle po pas mokry, trochę przepity i niewyspany, dostałem, jak podobno Włosi mówią: „un' jamero di katzo“. Dygocząc cały, tak, że aż czółno się hybotało, przesiedziałem z pół godziny, nim zaczęło świtać i byłem już tak znękany, że zamierzałem jechać do brzegu. Naraz zaświstało mi nad głową. Podniosłem oczy, aby zobaczyć, z której strony kaczka ciągnie, ale było już za późno, bo w tym momencie usłyszałem plask, podobny do tego, jaki wydaje mokra szmata, rzucona na wodę. Przed czółnem, najdalej na dwa metry siedziała nieruchomo, jak z kamienia wykuta, kaczka. Katzenjammer w jednej chwili gdzieś ustąpił — uczułem, że gorąco silnie biło mi do głowy, jednak nie drgnąłem. To samo zrobił wyżeł, siedzący na przodzie czółna. Po chwili zaczęła się poruszać kaczka, a ja, korzystając z jej nieuwagi, przyłożyłem strzelbę do twarzy. Nie mogąc jednak strzelić prosto przed siebie, z obawy, aby nie rozstrzaskać głowy siedzącemu naprzeciw mnie wyżłowi, przechyliłem się nieco na bok i celując kaczce w samą głowę, pociągnąłem gorączkowo za cyngiel. Strzał padł, ale był jakiś tak silny, że mi aż w uszech zadzwoniło. Nie zwracałem na to szczególniejszej uwagi, usiłując przebić wzrokiem unoszący się przedemną dym, aby rychło zobaczyć, co się z kaczką stało. Zanim dym w wilgotnej atmosferze uniósł się do góry, usłyszałem wołanie mego przyjaciela:

— A tam co?

Nie wiedząc, o co mnie zapytuje, odpowiedziałem krótko:

— Nie wiem.

Dopiero trzeci nasz towarzysz wyjaśnił, co się stało.

— To padło dwa strzały naraz — zawołał.

Złamawszy strzelbę, spostrzegłem, że oba ładunki były rzeczywiście wystrzelone, czego powodem było najprawdopodobniej to, że palec, odziany w mokrą rękawiczkę, ześliznął się i poruszył oba cyngle równocześnie. Wszystko to jednak nie zirytowało mię tyle, ile to, że kaczka na wodzie nie została. Była gruntownie chybiona.

Wnet potem opanowały mnie dreszcze na nowo i nie opuściły aż do końca ciągu, a były tem straszniejsze z powodu, że co strzeliłem do której kaczki, to zawsze „mimo". Nie ubiłem więc na rannym ciągu nic i zarzekłem się chodzić na dodniówkę po kąpieli, kolacyi i ferblu.

Mój przyjaciel ubił cudownie pięknie upierzoną kaczkę z niebieskawym, małym, więcej do gęsiego podobnym dzióbkiem, a strzelec spuścił znowu dwie cyranki.

Po ciągu zaczęliśmy szukać ubitych dnia poprzedniego kaczek, ale nadaremnie. Nie było nigdzie ani śladu...

Seweryn Kisielewski.

KORESPONDENCYE.

Lwów w grudniu.

(Z polowania).

Dnia 17. grudnia, na zaproszenie księdza kanonika Zenona Lubomęskiego, pospieszyliśmy na polowanie do Basiówki. Knieja ta, do bóbr kapitulnych należąca, ma już ustaloną reputacyę i cieszy się pięknym zwierzostanem. Tegoroczne polowanie, w którem brało udział 14 myśliwych, przeszło nawet najśmielsze nasze oczekiwania, bo wieczorem na rozkładzie ujrzeliśmy 21 rogaczy!

W dwóch miotach roiło się od sarn, a nie brakło i takich szczęśliwców, którzy, nie mogąc zdążyć z nabiciem strzelby, kilka rogaczy puścili bez strzału. Zajęcy tutaj stosunkowo bardzo mało, a powodem tego częścią położenie kniei, częścią brak podszycia, bo las prawie wyłącznie wysokopienny i czysty nie jest i nie może być ulubionem siedliskiem szaraka.

Leopold Łysakowski.

Hadynkowce d. 16. grudnia 1896.

(Z polowania w Ossowcach.)

Powracam z Ossowiec z polowania i pospieszam z doniesieniem do „Łowca" o świetnym wyniku, jakiśmy tam mieli na d. 14-go b. m. Już od lat kilku ossowieckie polowanie pod staranną i umiejętną opieką teraźniejszego właściciela widocznie zyskiwało, ale rezultat tegoroczny przeszedł oczekiwania nas wszystkich, albowiem w lesie około 250 morgów przestrzeni, będącym w połowie dość grubą a więc rzadką dębiną, zabiliśmy w 10 strzelb, w 4 godzinach 170 zajęcy, 2 kozły i 1-go lisa. A któż policzy postrzelone zajączki, które zakończyły swój żywot gdzieś tam w śniegu samotnie, nie dostąpiwszy nawet zaszczytu znajdowania się na rozkładzie?! Przytem także, pomimo doskonale prowadzonej naganki i obstawienia skrzydeł chorągiewkami, bardzo dużo zajęcy wyruszyło w pole, ratując śmiałą ucieczką swe życie.

Ten świetny wynik polowania w Ossowcach jest najlepszym dowodem, do czego zapomocą starannej i umiejętnej opieki nad zwierzyną doprowadzić można. Zasługa to właściciela kniei, hr. Aleksandra Potockiego, jest on bowiem nietylko doskonałym strzelcem, ale prawdziwie zamiłowanym, wykształconym i doświadczonym myśliwym. Bardzo nas wielu z pod chorągwi St. Huberta mogło by się niejednego w Ossowcach nauczyć, tak świetny zaś rezultat pracy i starania powinien dla nas wszystkich i dla naszej straży lasowej być bodźcem i zachętą do starannego zajęcia się zwierzyną. O tem wprawdzie mówi się u nas dużo, lecz czyni w ogóle zbyt mało, bo to nieraz kłopotliwe zajęcie. Do tego trzeba żelaznej wytrwałości właściciela i sumiennej oraz gorliwej straży lasowej, a niestety zbywa nam często na jednem i drugiem. *A. Z. C.*

Z Rzeszowskiego w grudniu.

(Z polowań).

W grudniu br. wziąłem udział w następujących polowaniach:

Dnia 3. grudnia polowano na dziki w Hadlach; zabito odyńca i lochę, prócz tego 16 zajęcy, 2 rogacze i lisa.

D. 5. grudnia w Lipniku u p. Z. Łastowieckiego w 7 strzelb zabito 50 zajęcy, 2 rogacze i 3 lisy.

D. 9. grudnie w Hyżnem u p. K. Jędrzejowicza w 13 strzelb zabito 16 zajęcy, 17 rogaczy, lisa i jarząbka.

D. 15 i 16. grudnia w Bojanowie u p. W. Komorowskiego w 14 strzelb zabiliśmy 212 zajęcy, 14 rogaczy, 1 lisa, 2 jarząbki, 4 bażanty. Powodem tak słabego, jak na Bojanów, rezultatu była fatalna aura, która przez oba dni dała się nam porządnie we znaki. Pierwszego dnia lał deszcz jak z cebra, tak, że już po godzinie byliśmy przemoknięci zupełnie, drugiego znów sypał mokry śnieg, a zimny, północny wiatr przejmował wszystkich do szpiku. Gdyby była pogoda sprzyjała, można było przynajmniej jeszcze sto sztuk zabić. Na bażanty właściwie nie polowaliśmy, gdyż właściciel założył dopiero dziki chów bażantów, więc tylko w oddalonych rewirach strzelaliśmy uciekiniery.

Dn. 18. i 19. grudnia polowaliśmy w 6 strzelb w Dorohowie u p. E. Kozickiego. Mimo ładnego stanu zwierzyny, padło tylko 45 zajęcy, gdyż braliśmy mioty na dziki w głębokim lesie, gdzie drobnej zwierzyny nie było, a dziki się wykpiły.

Muszę tu wspomnieć o bezprzykładnej bezczelności kłusowniczej służby leśnej z Błudnik. Las błudnicki graniczy bezpośrednio z lasem dorohowskim. Właściciel, sam nie myśliwy, pozwala straży leśnej polować na kuchnię, która, nie kontentując się swem terytoryum, zapuszcza zagony w cudze lasy. Byłem świadkiem, jak leśniczy dorohowski raportował p. Kozickiemu, że w nocy przed polowaniem naszem (a była to właśnie pełnia), ubili błudniccy leśni dzika w dorohowskim lesie i wyciągnęli go do swego lasu, co miałem sposobność sam skonstatować na śniegu, a za drugim postrzelonym łazili po wszystkich sekcyach. W dzień polowania w Dorohowie granica od Błudnik była silnie obstawiona strzelcami, którzy walili do wszystkiego, co przeszło przez granicę; nawet do jednej sarny, która

przepuściliśmy ze względu na jej płeć, padły strzały zaraz na tamtej stronie.

Wszystko to jednak niczem w porównaniu z faktem, który miał miejsce drugiego dnia. Otropiono dzika tuż nad granicą Błudnik. Waga nie pozwalała gonić go gdzieindziej, tylko na granicę, chociaż wiedzieliśmy, że skoro dzik na miejscu nie padnie, będzie dla nas straconym. Tak się też stało. Między dwóch dobrych strzelców wyszedł duży odyniec, a strzelony celnie, powlókł się, silnie farbując, do Błudnik. Musieliśmy tedy dać za wygrane i polować dalej według planu. Wieczorem dopiero przekonaliśmy się na śniegu, że dzik ten wrócił do naszego lasu, lecz w trop za nim wyszedł ktoś z Błudnik w berlaczach z psem i ścigał go po całym lesie, spolowanym dnia poprzedniego, aż dopiero ciemność zmusiła go do zaprzestania pościgu.

Musiał plan naszego polowania być dobrze znanym temu panu, kiedy odważył się, gdy tylu ludzi kręciło się po lesie dorohowskim, polować w nim na własną rękę, nic sobie z tego nie robiąc, że ślady, ten jawny dowód swego czynu, zostawi na śniegu. Trudne ma tedy warunki p. Kozicki dla hodowli swej zwierzyny, tem trudniejsze, że ze względu na stosunki sąsiedzkie z podobnych sprawek leśniczego błudnickiego nie chce robić użytku na drodze sądowej, chociaż nie ma wątpliwości, że skoro uwiadomi właściciela Błudnik o całem zajściu, ten odprawi niezawodnie sprawców, którzy nie szanując cudzej własności, nie dają żadnej gwarancyi, że swemu panu wiernie służą. *P. L.*

Z pod Krakowca w grudniu.

(Polowanie w Krakowcu).

Kura -- kogut, kogut — kura — buum! brzmiało nam w uszach przez wieczór cały, po żwawej pukaninie do bażantów, ostatniego dnia polowania u Kazimierza hr. Łubieńskiego w Krakowcu. Ale bo też strzelaliśmy bez przerwy, „jeden przez drugiego“ do kogutów, które stadami całemi z klombów w parku wybiegały i niemal dopiero pod nogami naszemi zrywały się do lotu. To też gospodarz prosił uprzejmie, aby na stanowisku nie wołać tiu, tiu, tiu... i nie walić w gromadę. Mimo to powstała ploteczka, że ktoś wygarnął w śnieg do biegnącego, ale w żaden sposób nie można było dojść winowajcy, bo jedyny świadek tego zdarzenia osłonił się mgłą dyskrecyi i tylko swem półwyznaniem zaostrzył ciekawość.

W przeciągu dwóch godzin padło strzałów 187. Wprawdzie ilość pokaźną kosztował jakiś zając, który zupełnie niepotrzebnie wmięszał się pomiędzy ptactwo, i dopiero słysząc zewsząd świszczące pociski, salwował się ucieczką na zamarznięty stawek. Fortel byłby mu się udał, bo rzecz dziwna, jak się śruty szalenie odbijały od..... lodu — ale na jego nieszczęście odwilż była od dni kilku, lód się załamał, i heroiczny kopyra śmierć poniósł w zimnej topieli — wbrew przysłowiu, „co ma wisieć — nie utonie“; bo gdy go rybak sprowadzony wyłowił, oglądaliśmy go wiszącego, równie dobrze jak i innych towarzyszy, którzy śmierć więcej naturalną ponieśli.

Ale nie o tem chciałem opowiadać.... Podczas powrotu do domu zaczął się obrachunek sumienia: ten mówi trzy, ów cztery, inni więcej jeszcze, a że było strzelb z piętnaście, więc wyrachowaliśmy ofiar więcej, niż kopę. Tymczasem na rozkład2ie widzimy raptem bażantów 26, z których jeden zając — ów nieszczęsny topielec. Trzebaż to się było dopiero bronić, aby się przy jakiej takiej sztuce utrzymać, a żartów i „naciągania“ starczyło na godzin parę, kiedy to przy doskonałym barszczyku rozpamiętywało się dzieje ubiegłych dni. A było o czem pamiętać, bo rozkład wykazał 27 kozłów, 4 lisy i 47 zajęcy z leśnego polowania.

Odwilż wypędziła zające w pole, tych więc było stosunkowo najmniej, sarn za to formalnie się roiło. To też jeden z drużyny, ufny w łaski Dyany, ślubował sobie, podobnie jak ongi Longinus, że dwa łby urwać musi jednym strzałem. Puszczał zatem (bez strzału, a czasem i po strzale) pojedyncze sztuki zajęcze i koźle, aż dopóki z pewnego pamiętnego gąszczyku naganka nie wyniosła dwóch okazałych rogaczy, jednym nabojem zabitych. To też w doskonałych humorach, po tem ślicznem i wzorowo urządzonem polowaniu, wieczorem przy fortepianie, układaliśmy *viribus unitis* kuplety do wszystkich ważniejszych epizodów Kilka zostało mi jeszcze w pamięci:

Ten woła „kogut“, tamten wrzeszczy „kury“,
A wszyscy na wiatr strzelają do góry;
Znów krzyczą „kogut“, ostrzegają „kura“,
Ptak zdrów uleciał — spadły tylko pióra.
Nawet i zając, jakiś bardzo dzielny,
Urągał strzałom, zdał się nieśmiertelny —
Nareszcie stchórzył, uciekał po lodzie,
Lecz się załamał, i śmierć znalazł w wodzie.
A był i dublet, lecz — o święta zgroza!
Uszedł w nim rogacz — padła stara koza,
Lecz zbawił honor ktoś pełen zapału,
Bo wziął dwa kozły od jednego strzału.

Z uczestników jeden.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Zatorze, majątku hr. Augusta Potockiego, na polowaniu odbytem d. 22. grudnia w 6 strzelb, ubito: 553 zajęcy, 156 bażantów i 42 kuropatw. Z uczestników polowania szczególne szczęście miał hr. ordynat Zamoyski, który na jednem stanowisku zabił 88 zajęcy i 3 kuropatwy, a w ciągu dnia z ręki hr. ordynata padło 146 sztuk zwierzyny.

— W Brniu u br. Jana Konopki odbyło się w dniach 14. i 15. grudnia polowanie w 12 strzelb. Ubito na niem 222 zajęcy, 1 lisa, 5 rogaczy, 3 bażanty i 4 kuropatwy, razem 235 sztuk. Pogoda nie sprzyjała. Pierwszego dnia w polu była gęsta mgła, drugiego dnia w lesie padał cały dzień deszcz, chwilami ulewny.

— W Horodnicy, w powiecie Husiatyńskiem, u p. Stanisława Jabłonowskiego, polowano w dniach 14., 15. i 16. grudnia w 12 strzelb i zabito 230 zajęcy, 15 kozłów i lisa, Z tego na jednem stanowisku zabił p. Kazimierz Horodyski kozła, lisa i 7 zajęcy.

— W Ryszkowej Woli, wsi należącej do klucza pełkińskiego księcia Witołda Czartoryskiego, odbyło się polowanie d. 29. grudnia. Wzięli w niem udział: Książę Władysław Sapieha, książę Adam Czartoryski, książę Witold Czartoryski, Eustachy Wolski, Bogdanowicz, Teofil Żurowski i dyrektor lasów. Ubito 72 zajęcy i 2 lisy.

Dwóch myśliwych zaproszonych nie przyjechało — a w dwóch miotach przy odwilży wystąpiła woda tak, że w obydwóch zginęło 3 zające. Gdyby nie to, byłoby wyżej sto sztuk padło. Polowanie szło jak zegarek o 14 ka-

mieniach — wzorowo prowadzone, na każdem kroku czuć było energię i znajomość rzeczy gospodarza.

Teofil Żurowski.

— W Siennowie i Rozborzu, własności Zdzisława Wolskiego i Franciszka Łastowieckiego polowaliśmy w 7 strzelb w polach d. 19. grudnia. Dla deszczu zaczęliśmy późno. Padło 34 zające.

Na pogonkę wołano ludzi z sąsiednich wsi; przyszło ich tak wiele, że musiano około stu odprawić. Odprawieni zemścili się na gospodarzu w ten sposób, że wyszedłszy za wieś, rozstawili się w łańcuch i z krzykiem przeszli pola, z których wygonili sarny i wiele zajęcy. Tak przegonili 2 mioty, w których popołudniu zastaliśmy wszystkiego 5 zajęcy. Nie jest-że to nowy wynalazek?!

Teofil Żurowski.

Z Królestwa Polskiego.

— W Wilanowie, seryę siedmiodniowych polowań rozpoczęto starym zwyczajem w dzień wigilijny. Polowano tytko w siedmiu polnych miotach w 10 strzelb i ubito 134 zajęcy i 20 kuropatw.

D. 28. grudnia odbyło się polowanie w 14 strzelb w rewirze Kabaty. Tu padło 590 zajęcy, kuna leśna i jastrząb. Obszar łowów obejmował około 1000 morgów, podzielonych na 11 miotów. Królem tego polowania był hr. Andrzej Potocki z Krzeszowic; i miał na rozkładzie 57 sztuk. Kozłów w tym rewirze, pomimo, że ich jest wielka mnogość, nie strzelano wcale. Przeznaczone są one do polowania na podjazd.

D. 29. grudnia polowano w bażantarni parku Natolińskiego. Zabito tu 88 bażantów, 92 zające i 3 jastrzębie.

— W Jabłonnej, u hr Augusta Potockiego, padło w 11 strzelb na polowaniu wigilijnem 150 zajęcy i 3 rogacze. Królem polowania był książę Jerzy Radziwiłł.

— W Kobierzycku, w Sieradzkiem, u p. Feliksa Radońskiego, polowano d. 14. grudnia w 10 strzelb i zabito: 130 zajęcy i 38 kuropatw.

— W Dzierzbicach, u hr. Colonna-Walewskiego, polowano d. 14. grudnia w 15 strzelb i zabito: 365 zajęcy, 18 kuropatw, rogacza i 2 kozy. Za zabicie tych ostatnich, zbyt krewki myśliwy zapłacił kary 25 rs., które przeznaczone zostały na miejscowy kościół.

— W Wąpielsku, w pow. rypińskim, u p. Józefa Siemiątkowskiego, na polowaniu, odbytem d. 14. grudnia, 12 myśliwych w kotłach zabiło 101 zajęcy. Powietrze było mgliste i padał śnieg.

— W Sokołowie, w pow. lipnowskim, u p. Bolesława Płoskiego, polowano w 19 strzelb i zabito: 125 zajęcy, lisa i 6 kuropatw.

— W Kijanach, u p. Stanisława Sonnenberga, w d. 16 i 17 grudnia, odbyło się doroczne polowanie, na którem w 14 strzelb zabito: 146 zajęcy, 9 kozłów, 7 lisów i 86 bażantów.

— W Piętnie, w gub. kaliskiej, na polowaniu dzierżawionem przez p. Ludwika Temlera, w d. 17, 18 i 19 grudnia w 18 strzelb zabito: 334 zające, 2 lisy, 3 rogacze, 4 cietrzewie, 9 kuropatw i 65 kogutów (bażantów), które tam dopiero przed rokiem zostały zaprowadzone.

— W Jarantowie, w pow. kaliskim, u p. Stanisława Radońskiego, polowano d. 16. grudnia w 19 strzelb i zabito: 273 zające i 7 kuropatw.

— W Kamieniu, w pow. lipnowskim, u p. Hipolita Wąsowicza, w d. 21. grudnia odbyło się polowanie, na którem 14 myśliwych zabiło 166 zajęcy, 24 kuropatw i kozła. U wigilię polowania znaleziono w zagajnikach w Jasieniu kozę, którą upolował kłusownik ze wsi o 4 mile odległej od owych zagajów. Spłoszony, kozę w krzakach pozostawił. Winnego jednak odszukano i pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

— W Osieczu, w gub. warszawskiej, u hr. Jana Bnińskiego, w d. 19, 21 i 22 grudnia polowano w 11 strzelb i zabito: 606 zajęcy, lisa, 67 bażantów, 24 kuropatwy, 14 królików i 3 drapieżniki, ogółem 715 sztuk. Królem polowania był hr. Władysław Potocki, mający na rozkładzie 108 sztuk.

— W Siemkowicach, w pow. wieluńskim, u p. Ignacego Karśnickiego, w d. 21. grudnia w 12 strzelb zabito: 202 zające, 10 kuropatw, rogacza i lisa.

— W Kiersna-Ostrowiu, w gub, suwalskiej, u p. Włodzimierza Gawrońskiego, polowano w d. 21 i 22 grudnia i zabito: 168 zajęcy, 2 lisy i rogacza.

— W Brwinowie, u p. Stanisława Lilpopa, w d. 22. grudnia w 14 strzelb zabito: 204 zające, rogacza i 3 lisy.

— W Parzymiechach, w gub. piotrkowskiej, u hr. Władysława Potockiego, na dorocznem trzydniowem polowaniu w 9 strzelb zabito: 460 zajęcy, lisa, 9 bażantów, 33 kuropatwy i 13 królików, ogółem 519 sztuk. Najwięcej zabił hr. Tomasz Potocki, na rozkładzie bowiem miał 82 sztuk.

Z Wielkopolski.

— W Przysiece, u p. Zygmunta Kurnatowskiego, polowano d. 1. grudnia w 9 strzelb i ubito 450 zajęcy, 70 bażantów i 10 królików.

— W Biezdrowie u p. Edwarda Kurnatowskiego, na polowaniu, odbytem d. 14. grudnia w 10 strzelb, ubito 452 zajęcy, 40 bażantów i 4 króliki.

— W Pożarowie, u p. Marszałka Kurnatowskiego, odbyło się polowanie d. 15. grudnia w dwanaście strzelb. Padło na niem 438 zajęcy, bażant i 6 królików.

KRONIKA.

Mieszaniec cietrzewi z bażantem został ubiegłej jesieni ubitym w okolicy Zelca w Czechach. Profesor Antoni Fritsch z Pragi pisze o tym ciekawym bastardzie co następuje:

Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę ogon, podobny w swym kształcie do ogona wyrośniętej kury bażanciej. Górna część nogi jest opierzona, dolna, zupełnie naga, nie posiada ostrogi. W upierzeniu przeważają dwie barwy: ciemnofioletowa, mieniąca się złotawo i purpurowo na głowie, szyi i na piersiach, przechodząca niemal w barwę czarną na brzuchu, i barwa oliwkowo-żółta, przechodząca w brunatną na grzbiecie, skrzydłach i ogonie, który jest ciemniejszemi falistemi liniami bronzowemi znaczony. Całe upierzenie, przerywane jaśniejszemi pręgami i falistemi, jasnemi liniami wskazuje, że ptak jest młody — mógł mieć około siedmiu miesięcy — i w upierzeniu swem jeszcze nie ustalony. Metaliczny połysk pierza na głowie, szyi i piersiach przypomina skrzekota, barwy wszakże mają swe cieniowania, przywołujące na pamięć podobieństwo z bażantem. Najwięcej tego podobieństwa ukazuje się w środkowych piórach ogona, na których oprócz wyraźnych, falistych linii poprzecznych znajdują się także w odległości co 15 milim. prążki poprzeczne. Końce tych piór są bardziej tępe niż u bażantów i mają białą obwódkę jak u cieciorek. Boczne pióra ogonowe przypominają jeszcze bardziej cieciorkę, są bowiem ku końcowi czarno-brunatne i wyraźnym, białym, szpiczasto wydłużającym się brzeżkiem zakończone. Dziób, dolna część kończyn i palce są całkiem bażancie. Pierścienie w koło oczu są drobniutkiemi pióreczkami, jak u bażanta, obrośnięte.

Ptak ten szczególny był kogutem. Mięso z niego nie było w smaku podobne ani do bażanta, ani do cietrzewia, lecz przypominało raczej kuropatwę. Powstanie tego bastarda tłumaczy okoliczność że okolice Zelca obfitują w cietrzewie, a jest tu również kilka bażantarni utrzymywanych, tak, że koguty bażantów mogą łatwo zlatywać na cietrzewie tokowiska. Czy bastard, o którym mowa, jest produktem bażanta z cieciorką, czy też cietrzewia z kurą bażancią — nie da się rozstrzygnąć, chociaż piarwsza ewentualność zdaje się być prawdopodobniejszą.

Kości hyen jaskiniowych obok resztek jaskiniowych niedźwiedzi, odszukano niedawno temu w Bośni, w powiecie Trebinie, w jaskini koło miejscowości Grebci. Ma to być pierwszy wypadek wykrycia hyeny jaskiniowej w krajach Bałkanu.

Ofiara namiętności myśliwskiej. Z Paryża donoszą pod d. 14 b. m. że młoda, 27-letnia baronowa Julia Leonino, córka austrowęgierskiego konsula generalnego bar. Gustawa Rotschilda, a żona inżyniera bar. Leonino, padła ofiarą namiętności myśliwskiej w czasie polowania *par force* na jelenie w kniei Halatte pod Senlis. Spłoszony koń począł baronowę unosić i zrzucił ją wreszcie, przyczem baronowa uderzyła tak silnie głową o drzewo, iż mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej po trzech godzinach ducha oddała.

Szczególne przywiązanie gołębicy. Dr. Karol Henricke z Gora opisuje fakt następujący:

Do folwarku w Belgershaim przywieziono parę zwyczajnych gołębi domowych. Szczególnym wypadkiem zginął wkrótce samiec, samotna więc gołębica poczęła się coraz bardziej przywiązywać do ludzi. Szczególniej zaszczycała swą przyjaźnią miejscowego kantora i stała się wkrótce nieodłączną jego towarzyszką. Gdy był w domu, wlatywała doń przez drzwi lub przez okno, gdy wyszedł do ogrodu lub na ulicę, wnet się pojawiała i siadała mu na ramieniu. Nawet noce przebywała w jego mieszkaniu, obrawszy sobie stanowisko na szafie, na drewnianem pudełku z torta. Stała się przytem tak łaskawą i łagodną, że kantor mógł ją brać do rąk, głaskać i wogóle robić z nią co mu się podobało — chociaż zbliżającym się obcym nie dała się dotknąć i dzióbała ich zajadle.

Na wiosnę z r. przeniósł się kantor do Frohburga i wziął gołębicę ze sobą. Tu skrzydlata przyjaciółka przyzwyczaiła się wkrótce do nowego pomieszkania i pomimo, że ono było w domu, mającym dużo drzwi i okien, umiała je zaraz odszukać. Chcąc się do środka dostać, siadała albo na ramie od okna, albo na klamce do drzwi. Kantor postanowił poczciwej przyjaciółce wyszukać męża, i nabywszy pięknego samca, zamknął oboje w gałębniku. Tu jednak, zamiast czułych gruchań, nastąpiła bójka, gołębica zaczęła tak dzióbem bić natrętnego galanta, że ten po otwarciu gołębnika natychmiast uciekł, aby się już więcej nie pokazać.

Od tego czasu stało się przywiązanie gołębicy do kantora tem gorętsze. Gdy ten wieczorem posadzi ją na tradycyjnem pudełku z totra i światło zagasi, zlatuje gołębica jeszcze parę razy do łóżka, aby się do swego przyjaciela tulić, a rano siada na pościeli i targa go zlekka za uszy i włosy, aby mu swe przywiązanie okazać. W końcu uważała łóżko swego pana za swoją własność, zniosła na nim w pewnym czasie z tuzin jaj i starała się je wysiadać. W sąsiedztwie było dużo gołębi, więc chociaż gołębica nasza starała się trzymać na uboczu, nie uchroniło ją to w końcu od stosunków z nimi i od macierzyńskich kłopotów.

W lecie przesiedlił się kantor napowrót do Belgershain, oczywiście razem ze swą przyjaciółką. Zajęli inne pomieszkanie, do którego gołębica znów się bardzo łatwo przyzwyczaiła i niezmiennie dotrzymuje towarzystwa swemu przyjacielowi, jużto krążąc nad jego głową, już to siadając mu na ramieniu, gdy się ruszy z domu.

Hodowla strusiów w Rosyi. W gubernii taurydzkiej, zaprowadził pewien właściciel większych posiadłości hodowlę strusiów, która mu się świetnie udała. Strusie oswoiły się z klimatem i swobodnie rozwijają się na stepach taurydzkich. Pierwszy zbiór piór strusich wysłano do Paryża i wnet go rozkupiono.

Jak wiadomo hodują już oddawna strusie nie tylko we farmach południowej Afryki, lecz także w Kalifornii i Australii, a ostatnimi czasy i w okolicach gór Kilimandżaro. Wprawdzie próbowali i Francuzi hodować strusie w Algierii, lecz próby te nie wydały upragnionych owoców. Aczkolwiek odpowiadał im klimat wyżyny Oranu, większa ilość wilgoci i zima wywołała u nich pewną zmianę w upierzeniu. Pióra im bowiem zgrubiały znacznie, stały się więcej kędzierzawemi, a co najgorsza prawie bezbarwnemi.

Wpływ przestrachu na ptaki. Mieszkańcy północno-wschodniej części Islandyi używają — jak przytacza *Zoologist* — osobliwego sposobu do połowu łabędzi. Na jesień, po okresie pierzenia, łabędzie opuszczają wnętrze wyspy i przelatują na wybrzeża stadami niezbyt licznemi. Na to oczekują mieszkańcy wybrzeża wraz ze swymi psami, a gdy łabędzie się zbliżają, ludzie i czworonogi podnoszą wrzawę, jak tylko mogą — krzyczą, biją kamieniami o deski, szczekają, każdy według swego uzdolnienia, skąd powstaje hałas piekielny. Wrzawa ta wywiera paraliżujący wpływ na młode łabędzie. Przerażone, osłupiałe, nie wiedzą w którą stronę się zwrócić, a w oszołomieniu tem padają na ziemię i łatwo chwytać się dają.

Podobnież i w Ameryce południowej korzystają Gauchowie przy łowach na inny gatunek łabędzia. Gdy się dowiedzą, że stado tych ptaków zatrzymało się w przelocie, posuwają się ku niemu pokryjomu, a dy są już dostatecznie zbliżeni, wypuszczają nagle konie i z głośnym okrzykiem biegną do ptaków, które nie mogą się nawet zerwać do lotu i pozwalają się na miejscu chwytać i mordować. Podobnie więc jak na ludzi, tak też i na zwierzęta przerażenie wywiera wpływ paraliżujący.

Ryba ziemno-wodna. Dr. Suard odkrył niedawno we francuskim Sudanie, w okolicy Nioso, 800 kilometrów od wybrzeża morskiego, szczególny gatunek ryby, żyjącej przez dziesięć miesięcy w roku bez wody. Ryba ta należy do klasy sumów, do rodziny Klarias. Przez dwa miesiące żyje w bagnach, powstałych w porze deszczowej, a kiedy bagna wyschną, wsuwa się w dziury i jamy, które tylko nocą opuszcza dla zbierania ziarnek prosa, stanowiących jej pożywienie. Przy szczęce górnej ma osiem wąsów silnie wykształconych, podczas gdy sum zwyczajny ma ich tylko 4 do 6. Sum ten różni się od znanej już dawno afrykańskiej ryby w mule żyjącej (*Trosopetros*) tem, że się w porze suchej roku nie otacza twardem zasklepieniem i nie pozostaje w odrętwieniu, lecz chowa się w kryjówce tylko w ciągu upalnych godzin dnia.

Wysoką temperaturę rozmaicie znoszą różne organizmy. Większa część zwierząt ginie w gorącu 30 do 40-stopniowem, inne zaś włożone do gorącej wody znoszą jeszcze temperturę 44 do 45 stopni.

Wyjątkiem są stworzeńka mikroskopijne; niektóre z nich nawet z 60-stopniowej temperatury nic sobie nie robią. Ten ostatni fakt wyjaśnić można tylko przystosowaniem się do trudnych warunków bytu. Udało się naprzykład sztucznie przyzwyczaić drobnotwory do temperatury 70-stopniowej. Angielscy uczeni w botanicznym ogrodzie kembryckim wyłowili ze źródła, tam bijącego, pewne zwierzątko drobniutkie i młode jego, skoro się wykłuły z jaja, trzymali w wodzie piętnastostopniowej tj. w takiej, jaką posiada to zwierzę normalnie. Po miesiącu zaczęto wodę ogrzewać i skonstatowano, że zwierzątka dostają już z 40 stopniem ciepłoty tężca od gorąca. Natomiast gdy młode zwierzątka trzymano zaraz od urodzenia w wodzie o 24 lub 25 stopniach, to tężec ten napadał je później dopiero z 44 stopniami. A zatem ich siła odporna na gorąco wzmogła się o 4 stopnie. Nie była ona trwałą. Po 17 dniach odporność ta znowu znikła.

Ryba świeca. Do najciekawszych okazów rodzaju rybiego należy t. zw. „ryba świeca", poławiania przy brzegach półwyspu Alas-i w Ameryce Północnej. Ryba ta ma ciało przeźroczyste, prawie całkowicie złożone z tłuszczu bezwonnego, przypominające wyglądem świeże sadło wieprzowe. Mieszkańcy Alaski suszą te ryby i używają ich w stanie ususzonym zamiast świec. Jedna rybka pali się kwadrans płomieniem jasnym i czystym, tak silnym, iż najtęższy wiatr zgasić go nie może. Kilka rybek, związanych razem, daje doskonałą pochodnię, niegasnącą nawet w czasie najsilniejszego wiatru i najtęższej burzy.

Zarazek wścieklizny. Pomimo zastósowanego już przez Pasteura systemu leczenia wścieklizny przy pomocy móżdżku zwierząt, wścieklizną dotkniętych, właściwy zarazek wścieklizny nie był dotychczas znanym. Dopiero dr. Bruschettini w Turynie miał w lecie roku zeszłego odkryć zarazek wścieklizny i miał o tem wykład d. 26. czerwca z. r. Dr. Bruschettini twierdzi na podstawie swych badań, że przyczyną wścieklizny jest bardzo drobny, krótki a gruby prątek, barwiący się silniej na końcach, niż w środku, rosnący na agarze w postaci ledwo dostrzegalnych, bladoszarych, do kropli rosy podobnych nalotów a dający się wykazać drobnowidowo w rdzeniu zwierząt wściekłych. Prątek ten wywołuje u królików typową, śmiertelną wściekliznę. Odkrycie to ważne czeka jeszcze na potwierdzenie innych badaczy.

Zdolność zmiany trybu życia, jeśli damy wiarę jakiemuś cytowanemu przez dzienniki prof. Lajerowi, ma być u zwierząt niższego rzędu nadzwyczajną. Doświadczenia, czynione przez rzeczonego profesora świadczą, że przynajmniej śledź, wcale nie beczkowy, solony ani wędzony, ale żywy śledź zdoła zastosować swój organizm do zupełnie zmienionych warunków życia . Profesor Lajer wpuścił żywego śledzia do basenu z morską wodą i tam robił z nim doświadczenia. Co dzień wyczerpywano z basena po litrze dawnej wody a dolewano tę samą miarę wody słodkiej. Zdawało się, że śledź tego nawet nie spostrzega i w ogóle cieszył się zdrowiem wybornem i apetytem nieumniejszonym, mimo, że po pewnym czasie pływał już w czystej słodkiej wodzie.

Zapomocą zmyślnie skonstruowanego przyrządu zaczął następnie prof. Lajer wpompowywać w basen dużo powietrza tak, że śledź pływając w wodzie od czasu do czasu wraz z nią chwytał też skrzelami pewną ilość powietrza. Zrazu widocznie uczuł się śledź niedysponowanym po takim eksperymencie, ale wkrótce wrócił do równowagi ducha i ciała i badacz mógł zacząć powolne wyczerpywanie wody z basenu.

Nie upłynęło pół roku, a śledź oddychał już samem powietrzem i żył bez wody. Wydobyto go z basenu, a wsadzono do ptasiej klatki, w której wesoło dawał szczupaki i susy i zjadał pająki lub podobne twory. Że kiedyś żył w wodzie, zdradzał tylko nieugaszonem pragnieniem. Nieobliczone ilości wody wypijał.

Zdarzyło się, że prof. Lajer musiał razu pewnego na kilka godzin pozostawić śledzia w samotności, aby zaś nie dać mu zginąć z pragnienia, postawił w klatce wielki dzban z wodą. Po powrocie spostrzegł z niezmiernym żalem, że śledź uciekł. Zaczął go szukać i przekonał się, że spragnione wody, a oduczone pływania śledzisko w dzbanie utonęło! Chyba już większej umiejętności przystosowywania się do zmienionych warunków życia od zwykłego śledzia wymagać nie można.

Podajemy tę notatkę, spisaną w formie całkiem poważnej, za innemi pismami. Szkoda tylko, że nie wskazały one miejsca pobytu uczonego profesora. Jako znawcy łaciny myśliwskiej, udalibyśmy się do niego z zapytaniem, czy nie zna jakich środków do oduczania ludzi, aby nie łgali.

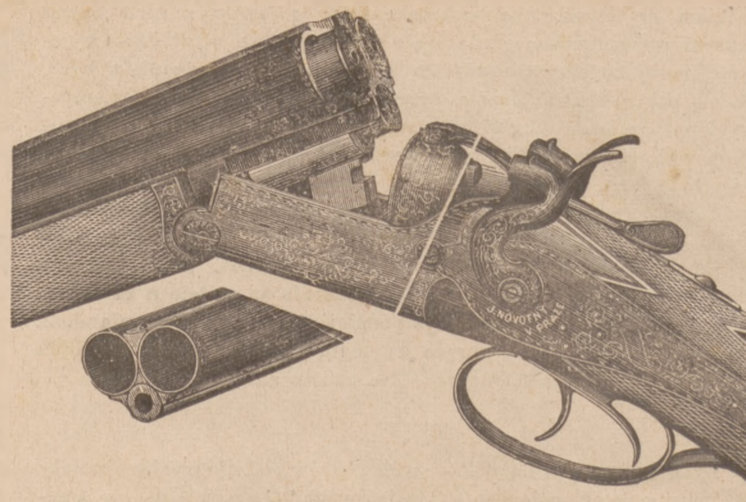
Sprawdzona identyczność. Jeden z moich przyjaciół — tak opowiadał George Auriol — z zawodu kuglarz, linoskok, a w danej chwili także poskramiacz i tresownik zwierząt, poszedł niedawno temu, będąc w Meaux, na pocztę, aby list odebrać. Ponieważ spuścił się na to, że w „całej Europie" jest znany pod imieniem Mikołaja Bruskiego, przeto bardzo się zadziwił, gdy go urzędnik pocztowy zapytał: „Masz pan może papiery, któreby dowodziły pańskiej identyczności, pokwitowanie na komorne może, pozwolenie na polowanie, odprawę z wojska lub coś podobnego?" „Nie", odpowiedział: „W takim razie", odrzekł urzędnik, „nic panu dać nie mogę". „Może panu wystarczy", zapytał znowu Bruski, „gdy panu powiem skąd oczekuję listu? Powinien nadejść z Pragi czeskiej".

Urzędnik poszukał w całym stosie listów, a po chwili przyjrzał się jakiemuś listowi dokładnie i powiedział: „Istotnie, jest tu list ze stampilią praską i adresem do p. Mikołaja Bruskiego. Chętnie wierzę, że jest dla pana przeznaczony, ale nie mogę go Panu wydać, dopóki mi pan nie dasz dowodu, że pan jesteś istotnie Bruskim. Kto mi zaręczy, że się Bruski nazywasz a nie Durand? List ten nie jest wciągnięty do rejestru i z chęcią nie zastosuję całej surowości przepisu. Przedłóż mi Pan jakikolwiek dowód, albo przyprowadź świadka, to wystarczy". „Dobrze", powiedział Bruski i odszedł.

Po godzinie mniej więcej powrócił z tajemniczym uśmiechem na twarzy. Przycisnął twarz do kraty i zawołał do wnętrza biura: „Jestem już z powrotem. To ja!" „Ja? co za ja?" brzmiała nieco szorstka odpowiedź urzędnika pocztowego. „Ja! Bruski! Jak pan wiesz, przychodzę po list z Pragi!" „A prawda" zauważył urzędnik „no, postarałeś się pan o potrzebne dowody? „Tak mi się zdaje" brzmiała odpowiedź. „Więc pokażże pan te dowody!" „Oto jest", mówił artysta trapezowy z pewnem wahaniem, „nie mogę ich tu wnieść do środka, nie można. Mam także dwóch świadków, ale także trudnoby było tutaj ich wprowadzać. Czybyś pan nie był tak dobrym wyjść ze mną na minutkę na podwórze?" Urzędnika zaciekawiło to wszystko, wyszedł więc zaraz. Na podwórzu stał wózek zaprzężony w kuca. „Oto są moje dowody", mówił Bruski, nie mam żadnych innych, ale sądzę, że one wystarczą, bo tu na wózku widzisz pan wymalowane wielkiemi białemi literami moje nazwisko: „Mikołaj Bruski!"

Rzeczywiście było to rzeczą wielce prawdopodobną, że wózek należał do tego, kto się domagał listu z Pragi, a nie do żadnego księcia Walii. „Widzę pańskie drewniane papiery", rzekł urzędnik, „ale gdzie są pańscy świadkowie?" Mistrz otworzył drzwiczki skrytki w wózku, wsunął tam rękę i wyciągnął papugę, którą grzecznie pozdrowił: „Tysiąckrotnie przepraszam, pani papugo, że ci przeszkadzam, Uczyni mi pani wielką łaskę i przyjemność, jeżeli mi pani powie z kim pani ma zaszczyt w tej chwili mówić?" „Świnia" zaskrzeczała papuga. „Nie jesteś grzeczną, moja pani", wołał dalej mistrz, „ale przypuściwszy, że ten człowiek, z którym pani rozmawia jest świnią, może mi pani powie, jak się ta świnia nazywa? „Mikołaj Bruski", wykrztusiła teraz papuga. „Dobrze! Bardzo dobrze! Możesz wrócić teraz do domu". Papuga powędrowała z powrotem do skrytki. Następnie zwrócił się sztukmistrz do kuca. „Patryku" tak przemawiał do czworonoga, „czy nie jesteś ulubionym wierzchowcem chińskiego cara?" Patryk potrząsł energicznie łbem przecząco. „Utrzymują, że należysz do niejakiego Mikołaja Bruskiego. Czy to prawda?" Patryk pokiwał w sposób stanowczy kilka razy głową, co w mimicznej mowie koni, tak dobrze jak ludzi, oznacza: „tak jest!" „A ten wóz", pyta dalej mistrz, czy nie należy on przypadkiem także do pana Bruskiego?" I znowu stanowcze „tak" nastąpiło. „Zaprzysiąż to na swój honor", rozkazał sztukmistrz. Konik podniósł prawą przednią nogę i zaczął prychać z tak wielką szczerością, że wreszcie przekonał upornego biurokratę.

„Nie mogę kwestyonować dobrej wiary pańskich szanownych świadków", powiedział. Potem wydobył praski list z kieszeni i wręczył go adresatowi, przekonany nareszcie, że istotnie widzi przed sobą Mikołaja Bruskiego a nie kogo innego.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Św. Zofii l. 8.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.